Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

17966

WACŁAWA·ROLICZA LIEDERA·WIERSZÓW KSIĘGI·PIERWSZE· DRUGIE·I·TRZECIE POWTÓRE·WYDANE W·KRAKOWIE·ROKU M·DCCC·LXXXX·VIII

17966
B.P. im. Ł.

1000084109

1705

Z Księgozbioru
BOLESŁAWA PRUSA

166156

WACŁAWA ROLICZA - LIEDERA
WIERSZÓW KSIĘGI PIERWSZE
DRUGIE I TRZECIE POWTÓRE
WYDANE W KRAKOWIE ROKU
M DCCC LXXXX VIII

Z Księgozbioru
BOLESŁAWA PRUSA

17966

Z Księgozbioru
BOLESŁAWA PRUSA

Miejska Biblioteka Publ. im. H. Łopacińskiego Lublin
I-323937
884-1

SĄ TU LATA MIESIĄCE I GODZINY KTÓRE
GROMADZĄ SIĘ W MIAROWO USTAWIANE
SZEREGI ABY ŚWIĄTECZNEMI SŁOWY DA
WAĆ PO WSZYSTKIE CZASY ŚWIADECTWO
O NASZEJ NA ZIEMI BYTNOŚCI· PRZEPRO
WADZAŁA NAS Z JEDNEGO· KRAŃCA NA
DRUGI GWIAZDA NIEPOZORNA A IMIĘ GWIA
ZDY ONEJ ROSPAMIĘTYWANIE· DZIŚ STA
NĄWSZY NA DRUGIM KRAŃCU ZWRACAJĄ
SIĘ OCZY NASZE KU KRAJINOM PRZEZ
KTÓRE CIĄGNĘLIŚMY· TOŻ SAMO SŁOŃCE
JESIENI KTÓRE WYPRAWIAŁO NAS W PO
DRÓŻ UKŁADA NA CZOLE NASZYM MILCZĄCE
POŻEGNANIE· NA GODZINĘ SZÓSTĄ WIE
CZORNĄ WRZEŚNIOWĄ KTÓRA BYŁA GO
DZINĄ NASZEGO POCZĄTKU I NA DWA ONE
ŚWIĘTE SERCA RODZICIELSKIE: NIE CIĘŻY
ŁA BYTNOŚĆ NASZA NA ZIEMI· A JEŻELI NIE
ZDOŁALIŚMY BYLI UCZYNIĆ WIĘCEJ DOBRE
GO TO JEDNO ŻE BÓG NIE OPATRZYŁ NAS
W WIĘKSZE DO CZYNIENIA RZECZY DO
BRYCH MOCY· ALE JAKO BYTNOŚĆ NASZA
NIE CIĘŻYŁA NA ZIEMI NIECHAJ ZIEMIA
ONA NIE CIĘŻY NA POPIOŁACH NASZYCH

KSIĘGI PIERWSZE

SZCZĘŚĆ BOŻE!

Cichy, samotny i marzący idę
W świat, między obce serca i plemiona;
Choć wytrwałości unaszam egidę,
Mocne ramiona,
Skoro mnie cudze powitają zorze:
Szczęść Boże!

Kędyś w zaroślach dalekiéj przyszłości,
Jest dla mnie przystań skromniutka i głucha,
Gdzie zdala wszelkich smutnych przeciwności,
Ułożę ducha,
Zanim przepłynę życia błędne morze:
Szczęść Boże!

Racz wejrzéć w duszę ludzką, lecz szlachetną,
Oblaną pieśni ponocnych pożarem;
Niech mnie od słowa zmory nie odetną
Zwątpień handżarem;
Wszak się przed bożkiem pospólstwa nie korzę:
Szczęść Boże!

Zamiarom mojim, co w cichości rosną,
Pragną przedziwne wydawać owoce,
Jak kwietnym kiełkom, które wczesną wiosną,
W sadów pomroce,
Pragną motylom białym usłać łoże:
Szczęść Boże!

Marzeniom mojim, milczącym a rzewnym,
Tęsknocie serca, tlejącéj, jak próchno,
Smutkowi memu, duszy modłom śpiéwnym,
Co w echu głuchną,
Łzom i westchnieniom, o wieczornéj porze:
Szczęść Boże!

DO SŁOWA

Szczęsny kto stanie w przewybranym rzędzie
Twych wielbicielów i marzenia zjiści,
A na twe brzmienie zadrży dreszczem liści;
Szczęśniejszy stokroć, kto ciebie posiędzie.

Tego powiedziesz, jakoby w legiendzie,
Nad szklanne zdroje natchnionych korzyści,
Wskażesz, jak z serca uczucie myśl przędzie
I, jako duszę z rdzy życiowéj czyści.

Na piękna dźwigniesz go skromny piedestał,
Do ręki wciśniesz rozwagi pochodnię,
Aby mądrości kochać nie zaprzestał.

Lecz, jak Bachusem na szerokim Cyprze,
Tak będzie nim tłum bawił się niegodnie:
Choćby miał umrzéć, ciebie się nie wyprze.

II

Wsłuchany w ciebie, marzący o tobie,
Melodją twego odurzony głosu,
Byłem zabawką zazdrosnego losu
I serce w grubéj nosiłem żałobie.

Jeszcze ci w onéj poświęcony dobie,
Gdym chłopięcego był pełen patosu,
Z dumą przysięgłem na dzieciństwa grobie,
Miłować ciebie śród smutku chaosu.

O, zazdrość w ludziach nienawiść podżega!
Musiałem ciérpiéć po niewinnym ślubie,
Ukrywać miłość, a oko miéć śpiega,

Dziś jeszcze żyję w ciągłych męczarń próbie,
Lecz, że Opatrzność dni mojich przestrzega:
Ciérpiąc za ciebie z męczarń tych się chlubię.

NAWIEDZINY ANIELSKIE

Widziałem niegdyś nocą Anioła,
Przy mnie na chmurze różowéj stał:
Promienne blaski z wielkiego czoła
Olśniéwająco biły dokoła,
Na złotéj gęśli marząco grał.

Suknię miał lekką z przędzy pajęczéj,
Długą a białą, jak ranny śnieg,
A w oczu barwy majowéj tęczy,
Jaka patrzącą źrenicę męczy,
Wszystko w tęczowy zamienia bieg.

Wojew. i Miejska Biblioteka Publiczna
Nr 323937
LUBLIN
im. H. ŁOPACIŃSKIEGO

Ta biała postać stała nad głową,
Grała na gęśli, nad uchem tuż,
A tak tęskliwie i tak różowo
Grała zaklętą pieśń aniołową,
Jak wiatr, gdy pływa po listkach róż,

Przerwał — i w oczy patrzał mi długo,
W źrenicy jego widziałem łzę...
Aż błękitnawą rozwiał się smugą,
Cudowne woni spływały strugą
Na oczy moje, na usty me.

Odkąd mnie Anioł pieśnią odurzył
Zatrute wiodę i gorzkie dni;
Sam odtąd pieśni jego bym wtórzył,
Płakał i tęsknił, rwał się i burzył...
Po co ten Anioł przygrywał mi?

Po co się zbliżał z pieśnią, co mami
Roskosznym drżeniem sercowy rdzeń,
Zapach nademną rozlał balsami,
Za sobą tęsknić kazał nocami,
I słuchać w echu niknących brzmień?

CREDO

Ja wierzę w Boga, ziemię, oceany,
Planety, gwiazdy, słońce, meteory,
W każdy kiérz, ręką przyrody zasiany,
W każdą roślinę, ptactwo, wszelkie twory
I w prochy, które dobra ziemia grzebie,
W miłość, marzenie i w samego siebie.

Wierzę w krwi ludzkiéj dwójność przyrodzoną,
Wierzę w głos zacny téj, która z błękitu;
W głowy, królewską odziane koroną,
I w modlitewnik dawny z aksamitu;
We wszystko, co mnie dziecku, powiedzieli:
W tradycję ojca i cnoty kądzieli.

Wierzę w porządek, który się układa,
Jako na fali fałda drugiéj fali;
W głos wieszcza, który mądrość opowiada,
Lecz wprzód od ludzi przeżył siedm lat w dali,
I wierzę w honor, co jak modrzewiowy
Las starożytny nie pochyla głowy.

W różne przedziwne na tym świecie rzeczy,
Przed wiedzą ludzką okryte zasłoną,
Których nie może znać umysł człowieczy,
Choć jest umysłów wszelakich koroną —
Przed temi rzeczmi kłonię się w pokorze,
Wierząc w to, czego umysł znać nie może.

Wierzę, że jako kaganek westalki,
Mdlejąc ze smutku, niekiedy przygasnę;
Że żywot mój szeregiem będzie walki,
A hasłem mojim: słowa barwy jasne,
Że choć w mogile spopielę się cały,
Wieki przy pieśni méj będą się grzały.

I wierzę mocno w to, że kto nie wierzy
W samego siebie, ni w snute zamiary,
Nigdy o gwiazdy czołem nie uderzy,
Przez świat nie przejdzie, lecz przez jego szpary
I, że go nawet robak nie tknie w grobie
Który, choć robak, wciąż myśli o sobie.

Wierzę, że duma wynosi człowieka,
Lecz że go upór w ciemną otchłań strąca,
Gdzie żadna życia nie przepływa rzeka,
Ani się wkrada słaby blask miesiąca,
Gdzie ciemność pasy wije nieskończone
Na niedołęstwo, w wnętrzu pogrzebione.

Duma jest kwiatem, co kwitnie w ogrodzie
Oparkanionym rozłożystą cnotą;
Cnota jesionem jest, w którego chłodzie,
Gdy życie pali, człek siada z ochotą
Myśląc, że chociaż życie go znieważy,
Cnota z umarłéj uśmiéchnie się twarzy.

PERPETUUM MOBILE

Zbytnio czułą goszczę w ciele duszę,
Abym serca opiérał się woli,
Nieraz cichą łzę uronić muszę,
Gdy mnie obłok zmartwienia okoli.

Skoro wszystko, nakształt złudzeń, znika
Co przygarnę do serca miłośnie,
A strach umysł niewolno przenika,
Ból, jak rzéka w dniu powodzi, rośnie.

Więc ku słońca zachodom polowym
Zwracam oczy i ginę w zdumieniu,
Więc ku źródeł melodjom miarowym
Zwracam słuchy i tonę w marzeniu.

Lecz, gdy własne zgryzoty odwrócę,
Wnet mi bliźnich jęczenia zawtórzą,
Znowu dumam i znowu się smucę,
Że na ziemi płaczących serc dużo.

Że tych smutnych tak wiele, tak wiele!
Osaczonych gęstą zwątpień siatką;
A ja stąpam wśród jęków ich śmiele,
I dla wszystkich nie mogę być matką.

PIOSNKA

Szczęsnym jest kwiatek wiośniany,
Co wdzięczy się na polance,
Nie wiedząc, że przyjdzie chwila,
W któréj go chłopiec rumiany
Zerwie — i poda kochance.

Szczęsnemi leśne ptaszyny,
Co w gąszczach świérgocą trele
I ani wiedzą, że śpiewom,
Płynącym z łona gęstwiny,
Serc przysłuchuje się wiele.

Szczęsnym poeta młodziutki,
Gdy w lutnię śmiało uderza,
Piosnki wywodzi ulotne,
I szczérze chłopięce smutki
Kartce papiéru powierza.

Nie myśląc, że z drobnych pieśni,
Tkliwego serca spowiedzi,
Wytryśnie psalm babiloński,
Co będzie późniéj lub wcześniéj
Grzmiał wśród zdziwionéj gawiedzi;

Że on, czci słowa oddany,
W smutku upadnie ramiona,
Zajęczy w bólach myślowych:
Burz życia wiatrem targany,
W mądrości życia dokona.

NIE MÓWCIE

Wy mi nie mówcie, skoro Anioł śmierci
Niemoc na oczy zgasające wionie,
Że życie piérzchło, żaden ból nie wierci
Serca ludzkiego, że w mglistéj oponie
Duch utajony w niebiosy ulata,
Na ciche pola szczęśliwszego świata.

Wy mi nie mówcie, że istoty białe
Na siedmiostrunnéj przebiérając lutni,
Wieczną tam radość głoszą, wieczną chwałę
Tym, którzy byli za żywota smutni,
Własnemi łzami pragnienie gasili,
Tęskniąc do życia, które wymarzyli.

Mówcie mi, proszę, o inszym wręcz niebie,
Kędy przeciąga wręcz przeciwne życie:
Wierzę że dusza po ciała pogrzebie,
Tuła się smutna na ziemi orbicie,
Wpół obłąkana, rozmarzona, cicha
I, że za życiem utraconym wzdycha.

Że na ponurym wsparta zodyjaku,
Mglista jéj postać spogląda na ziemię,
Że z zielonawych gwiazd mlécznego szlaku,
Chciałaby zleciéć w pośród ludzkie plemię
I wstąpić w ciało uziębłe powtórnie,
Żyć po dawnemu tęskniąco i chmurnie.

Marzyć, pożądać i ciérpiéć i kochać,
Rojić o szczęściu, weselu i chwale,
Junacko sięgać po wszystko, i szlochać
Na grobie wspomnień, jęcząc niebywale,
Wywalczać sobie skromną rację bytu
I — powątpiéwać w godzinie przesytu.

Tak mówcie, proszę, a będę wam wierzył,
Ani jednemu słowu nie zaprzeczę:
Bo duch, co lata w walce z ciałem przeżył,
Skromił namiętne szaleństwa człowiecze,
Pewno, gdy z więzów ciała się wyzwoli,
Ciérpi w żałości mglistéj aureoli.

BEZIMIENNYM

Byłem bezmocnym, gdy wasze mądrości
Mą ociemniałość przemocą léczyły.
Odszedłem tedy myśl chować w cichości
I nie powracać, aże wzrósszy w siły.

Kiedyś, gdy z woli tajemnych wyroków,
Pieśń ma w zaciszu serca odchowana,
W świat wyjechawszy na wozie z obłoków,
Podetnie wszystkim po drodze kolana.

I wyjechała, o wcześniéj niż miała
Jechać, by zdążać do kraju wieczności;
Lecz jedzie zwolna: bo drogę zapchała
Ćma ślepców, którzy oślepli z mądrości.

ZAPYTANIE

I co im zależało na tym, aby chłopię,
Co serce odmykało przed każdym w ufności,
Mordować, jako muchę w zawiści ukropie,
Brzydkie na myśl niewinną wytrząsając złości?

Co winne były pieśni, które się toczyły
Z młodych piersi, jak woda ze źródeł się toczy?
Bóg przez usty chłopięcia słał im całus miły,
A oni chłopcu łzami zaprószyli oczy.

ODA HORACEGO

Cieszy się jeden, gdy w wartkim rydwanie
Prześcignie metę w kurzawicy dymie,
Palmę zwycięstwa do ręku dostanie,
Z ust do ust pośle gromowładne imię.

Drugi, gdy z pośród rywalów bielonych,
Na posła naród zmienny go obierze;
Inszy, gdy zbożem włók niepoliczonych
Po dach napełni piętrowe śpichlerze.

Rolnik, co rankiem za lemieszem chodzi,
Przykładnie rolę chlebodajną orze,
Za żadne skarby nie siędzie do łodzi,
Aby spienione pruć wiosłami morze.

Żeglarz, gdy burza morską falą miota,
Niepróżno sielską ciszę słodko chwali,
Ale po burzy znowu go tęsknota
Pędzi na obszar nieskończonéj fali.

I tacy znowu są, których zwyczajem
Nie gardzić czarą wydwornego wina,
W altanach marzyć nad śpiéwnym ruczajem,
Gdy cichy wietrzyk cyprysy nagina.

Żołniérz miłuje zgiełk obozowiska,
Lubi gdy kołem brzmią trąby nadęte,
Błyszczącym mieczem zuchwale połyska
I kocha wojny, przez matki przeklęte.

Myśliwy młodą zaniedbywa żonę
I w czarne knieje z ogarami leci,
Gazele ściga po górach strwożone
Lub tropi dzika, gdy wyrwie się z sieci.

Mnie zaś wystarcza, gdy zdala od gwaru
Poziomėj czerni, gajik mnie ocienia,
Gdy przy słowiczėj piosnce, pełnėj czaru
Gonię piérzchliwie godziny natchnienia.

WESOŁO!

Wesoło bawcie się, dzieci!
Nie czyńcie przerwy w zabawie:
Dzieciństwo szybko przeleci,
Na szkolnéj siądziecie ławie;
Będą uczyli was greki,
Czytać będziecie Owida,
W stare wgłębiając się wieki,
Pustką obecność się wyda.

Wesoło bawcie się, dzieci!
Ochoczo niechaj mknie życie:
Dzieciństwo szybko przeleci,
W młodzieńcze lata wkroczycie;
A młodość pełna przykrości,
Wiek młody nader zwodniczy,
Zajrzycie w oczy miłości,
Wiele doznając goryczy.

Wesoło bawcie się, dzieci!
Nieznane życie w was drzemie:
Kiedyś do nieba duch wzleci
I z nieba spadnie na ziemię;
I będzie piął się na dęby,
Po wieńce, sławę, zaszczyty —
Przeciwieństw dotkną go zęby,
Runie i będzie przeżyty.

Wesoło bawcie się, dzieci!
Wszak wam używać dziś świata:
Dzieciństwo rączo przeleci
I męskie nastaną lata;
Wiek męski — wiek doświadczenia,
Jeszcze się trudy nie kończą,
Blade powstaną wspomnienia,
Pod serca śpiące opończą.

Wesoło bawcie się, dzieci!
Dzieciństwo wartko się toczy:
Jak błyskawica przeleci
I starość zajrzy wam w oczy.
Starość — nie zazna jéj wielu!
Bezsilna, zmartwiała, cicha,
Przed sobą nie ma już celu,
Przeciwieństw w dal nie odpycha.

Wesoło bawcie się, dzieci!
Wesoło pędźcie wiek hoży:
Na orlich skrzydłach czas leci,
Grobowiec wrota otworzy:
W nim ciało wasze spleśnieje,
Kości rozsypią się w prochy,
Z niemi i smutki, nadzieje,
W mogił zapadną się lochy.

Jak okręt, który utraciwszy żagle,
W czarnych przepaściach morza czoło nurza,
Tak moję duszę, pochwyciwszy nagle,
W otchłaniach myśli topi groźna burza,
A wiatr zwątpienia pędzi obłąkaną
Na rafy bólu z mocą niesłychaną.

A więc zwątpiłem! ja, który zwątpieniu
Niedawno plwałem w kamienne oblicze!
Ja, który niosłem w tym czarnym cierpieniu
Każdemu słowo otuchy lecznicze,
Sam w chwytne sidła popadłem zdradziecko...
Leżę złamany, bezsilny, jak dziecko.

Stokroć szczęśliwszy żebrak, co z mantyką
Chodzi po ludziach, chléb dzienny wyprasza!
Temu na sercu nie straszno, nie dziko,
W nieszczęściu żyje modlitwą Jonasza;
Z chęcią braterstwo chciałbym mu zaprzysiąc,
Niźli umiérać tak po razy tysiąc.

Niżeli widziéć, jak pod memi stopy
Bezdenna przepaść mrok zimny rozwiéra,
Jak lodowemi wybuchając snopy,
Gmach mojich marzeń w czeluści zabiéra,
Jak moja przyszłość zapłakana, blada,
W tę mroczną jamę zwątpienia zapada.

O klątwo ludzka, godzino zwątpienia!
Krzyżu straszniejszy nad męczeńskie krzyże!
Klnę tobie, szydząc z własnego cierpienia,
W myślowych bólów szamocę się wirze,
Ostatnéj siły zwalczę cię wysiłkiem!
A jednak... mocą jesteś, ja zaś pyłkiem.

Ulegam, słabnę, pustka mię obleka
Straszna, bezbrzeżna, aż serce załkało;
I niéma przy mnie żadnego człowieka,
Któryby duszę pokrzepił omdlałą,
Niéma nikogo prócz Boga na niebie...
Boże! zgwałcony zwracam się do ciebie.

Klękam ; wyciągam błagające ręce,
Modlę się, modlę solennemi słowy,
Sto łkań myślowych wtóruje méj męce;
Lecz głos cierpiących bywa bezechowy,
Nie bije w góry, gdzie rządzi pociecha:
Życie, jak morze, nie roznasza echa...

WEZWANIE

Chodźcie do pieśni, anieli strąceni,
Wy którzy macie serca potargane!
Jakoby struny harf wiatrem jesieni
Na symfonicznym koncercie zerwane:
Pieśń was do piersi pieściwéj przytuli,
Kołysankami uśpi przykrość bóli.

Wy którzy smutni, wy którzy cierpicie!
Schrońcie się ufni pod marzeń namioty:
Przy gęśli słodko czas gorzki prześnicie,
Zbiérając mocy na nowe wyloty,
A smutki, które skrzydła wam łamały,
Będą się w grobach zapomnień chowały.

Z popiołów smutków wstanie zwolna siła,
Co wasze dusze spojrzeniem obejmie,
Wabiąc ku sobie, jak roskoszna wiła,
Która wśród jezior pląsa na nimf sejmie
I wżywać będzie się w istotę waszą,
Jak myśli, które cieszą — lecz nie straszą.

Niby w letejskiéj wykąpani fali
Wy, coście gryźli się i płakiwali,
Z jasnością świętnych w źrenicy promieni,
Wejdziecie w życie odbudowywane:
Chodźcie do pieśni, anieli strąceni,
Wy, którzy macie serca potargane!

ZAWIEDZIONYM

Gdy przed ołtarzem ksiądz was wiązał stułą,
Czyście się znali wzajem, narzeczeni?
Serce dziewczyny nawet nie przeczuło,
Że zwiędnie rychło, jak kwiat na jesieni.

Każda z was wniosła w posagu mężowi
Młodość i zdrowie i serce — dyjament,
I tkliwość równą cudownemu snowi,
I myśl strwożoną przez weselny zamęt.

Każda z was wniosła ciepłych oczu dwoje,
Dwie jasne gwiazdy na zwiąskowym niebie,
Ażeby spólne słodzić niemi znoje,
Zagrzéwać ducha w naglącéj potrzebie.

A wam co dano? nawpół zwiędłe zdrowie
I serce, jako północny lodowiec,
Widok którego ciérpkie wzbudza mrowie,
Przed którym zadrży odważny wędrowiec.

I ust wyziębłych lichy pocałunek,
A miłość nawet i nie haremową,
Miłość, co gwałci należny szacunek,
Lekceważenie kładąc w każde słowo.

Macież wy chociaż uchron w pustym domu,
Dla smutnéj myśli, gdy nie macie męża?
Uchron przed burzą i wtargnięciem gromu,
Który pierś zbrojną nawet przezwycięża?

Gdzie tam! gdzie każde słowo męża kłamie,
Gdzie myśli w pustce bezbrzeżnéj się gubią,
Gdzie was nie wesprze uczuciowe ramię,
Gdzie dobre piersi was nie przyhołubią:

Czyż może cisza ująć was w ramiona?
O tkliwogłose meońskie łabędzie!
Serce tęsknota stoczy niezgłębiona,
A umysł smutek trujący oprzędzie.

Podobne ptakom, z zwiniętemi skrzydły,
Smętnie przed zniczem tlejącym siedzicie,
Różowe mary i nadzieje zbrzydły,
Wcześnie opada z kwiecia młode życie.

I przeto macie twarzyczki żałobne,
I przeto błyszczy łzą jedwabna rzęsa...
Biédne! różyczkom jesteście podobne,
Po których listkach robak się wałęsa.

O JAKŻE SERCE ME PŁACZE

O, jakże płacze serce moje biedne,
O, jakże milczą usty zaciśnięte!
O, jakże gwałtu uczucie powszedne
W tył odpychają moje myśli zmięte.

Niech serce płacze, a może spodleje,
Niech słowo milczy, a może zaszczeka,
Niech gwałt podważy myślenia wieżeje,
A może zemnie wykuje człowieka.

Wówczas wystąpię na rynek społeczny,
Nabyte chamstwo serc ludzkich potroję,
By, co nie zmarli, na sąd ostateczny
Ponieśli radość że zrobili swoje.

KAMIEŃ I PERŁA

Nie mógł był kamień znieść perły widoku,
Bo była pańską, skromniutką i w cenie;
Więc postanowił był zgnieść ją i dowieść,
Czym są na ziemi brukowe kamienie.

Niewiedział tylko on kamień surowy,
Gdy w klejnot mocnym godził uderzeniem,
Że kamień perły bez oporu trzaska
I że, strzaskawszy, jest tylko kamieniem.

NIEPRAWDAŻ PANIE?

Nieprawdaż, Panie, że zanim odlecę
Na skrzydłach śmierci w kraj nieskończoności,
Będziesz miał serce me w tkliwéj opiece,
Chroniąc je przeciw wszelkiéj zjadliwości.

Ty niepozwolisz, o nieprawdaż Panie,
Aby to serce od strzał zardzewiało,
I aby brud je obsiadł niespodzianie,
Iż się z nieczystym stworzeniem stykało.

Jak czystą była o, nieprawdaż Panie,
Piérwsza łza matki nad nim uroniona,
Tak ono czysto i niepokalanie
W ostatnym biciu żywota dokona.

ISTNIENIE

Pytałem zorzy, gdy raczki spiekła,
Płynąc nad knieje,
Czy wié o bycie? zorza odrzekła:
Tak jest, istnieję.

Pytałem krzewu róż, niezabudek
W sielskiéj ustroni;
Cichutkim szeptem zabrzmiał ogródek:
Osądź po woni.

Pytałem ptasząt w leśnéj gęstwinie:
Wiecież o bycie?
Rzekły, że wiedzą, bo pieśń ich płynie
Przez całe życie.

Słyszałem echo w górskim parowie,
O nocnéj dobie;
Znowu spytałem, echo odpowie:
Sądź po żałobie.

Księżyc przemawia: jestem, bo jasność
Noszę na sierpie.
Ach! toć i ja mam istnienia własność:
Jestem, bo cierpię.

CMENTARNE DUMANIA

Cmentarz, gród zmarłych, przedemną i krzyże;
Spokój wieczysty, krajina uśpienia...
Jedynie wietrzyk na powietrznéj lirze

Wygrywa cichą piosnkę zapomnienia
Tym, którzy wiecznie milczą, jak trapiści,
I wymazani są z księgi istnienia;

Co śpią w osłonie powłóczystych liści
Brzóz zapłakanych i, przez ogni krwawe
Przeszedszy życia, są jak ogień czyści.

Wódz ciszy dzierży nad niemi buławę
I węzeł zgody wszystkich śpiących łączy;
A żadne widmo nie powstaje łzawe

By z pod sercowéj wyrywać opończy
Uśpione bóle; kto się na obszary
Wyniósł cmentarne, pasmo cierpień kończy.

Ileż tajemnic schłonęły pieczary
Wilgotnych grobów! ile w ziemnym łonie
Zbrodni spoczęło bez doczesnéj kary!

Ileż miłości i uczucia tonie,
Burzliwych pragnień w mrocznych piwnic głębi,
Klątw i hardości! cmentarne ustronie

Jedno się mgłami przypuszczenia kłębi;
Wszystko oblekła tajemnica czarna,
Mogiły spokój opasał gołębi.

Cicha i smętna krajina cmentarna:
Noc się powoli z sfer obłocznych spuszcza,
W powietrzu gwiazda błysnęła polarna;

Rosa się czepia grobowego bluszcza,
Każdy umarły śni, jakoby jagnię,
Pod niemą strażą cypryjskiego kuszcza,

I nic nie myśli, niczego nie pragnie.

PIEŚŃ JESIENNA

Nie lubię wiosny kuglarki!
Bom urodzony
Gdy winne znasza podarki
Wrzesień czerwony,
Jabłonki złoty sypią plon,
Wrzosy ujędrnia ranny szron.

Nie lubię ciszy grobowéj,
Jaka się ściele
Na trawnik kwiatów majowy,
Gdy każde zielę
Miłować chce wietrzyka wiew,
Żałosny tryl wypływa z drzew.

Bo tęskność rodzi się w duszy
I łza się zbiéra...
W téj słodkiéj, bezszmernéj głuszy
Myśl obumiéra,
I pragnie wraz pieszczotą żyć
I kochać chce i rzewnie śnić.

Lecz jesień kocham nad życie,
Jesień szaloną!
Gdy gwiazdy błyszczą w zenicie
Złotą koroną,
Żórawi klucz uleciał w dal,
Po lasach kruk roznasza żal.

Gdy liście lecą z dębiny
Na suche trawy,
W ogrodach szumią drzewiny,
Marszczą się stawy,
Wiatr świszcze, gwizda, jęczy bór
Jakgdyby łkał w nim wspomnień zbór.

Bo walkę widzę w naturze,
Walkę namiętną:
Jak w życiu człowieka — burze
I duszę smętną;
Krew kipi, wre, a serce grzmi,
I straszno mi i dziko mi!

OTWARTA KSIĘGA

Czoło jest księgą otwartą, w niéj wiernie
Odźwiérciedlają się życia człowiecze:
Z otwartéj księgi odczytasz misternie,
Czy człowiek kąpał myśl w czczości cysternie,
Czyli téż chwytał za obrony miecze.

O! spotkasz czoła, jak słoneczna tarcza,
Zgłoskami wrażeń splamione mizernie,
A są to serca, dla których wystarcza
Żyć z przeznaczeniem niślimki pomiernie.

Są czoła, które noszą pisma dużo:
Te serca przeszły przez życia hamernię
I nad niemocy stawały kałużą;

I ulegały namiętności burzom;
Nie służąc bogom, którym insze służą,

Wzgardziły laurem, a wybrały ciernie.

DWIE CHWILE

Życie jest niby chodzący z faryną
Pomiędzy tłumem w dzień przedodpustowy;
Jedni loterję z uśmiéchem pominą,
Drudzy niedoli nadstawiają głowy.

I ja, należąc do ludzkiego rodu,
Nieraz pokusie tumanić się dałem;
Miast być mieszkańcem sennego ogrodu,
Nagle niemiłe widoki ujrzałem.

Więc doświadczenie chwytając za ramię,
W samotne miejsca biegłem głosząc żale,
Zdawało mi się, że ludzi poplamię,
Że się od hańby w oczu świata spalę.

Lecz, jeźli mimo lepkich pokus sideł
Zwycięsko szedłem przez gościniec życia,
Jakoby między szeregiem bawideł,
Które trucizną pachną z pod pokrycia:

To wydawało mi się, żem jest biały,
Jako w legiendach żyjący anieli,
Że jestem dzieckiem potęgi i chwały,
Któremu cały świat zazdrości bieli;

Że w sobie duszę piastuję tak piękną,
Olśniéwającą blaskami każdego,
Że niewiniątka po drodze uklękną,
Modląc się do mnie, jako do świętego.

MYŚL O GRZECHU

Nie jest bezbożnym, gdy ktoś się pośliźnie,
Z wiedzą lub bez niéj mrok ziemski obaczy,
Grzéch ujrzy w pełnéj bezwstydnéj goliźnie,
Ręką go dotknie i jakość oznaczy.

Chcąc z swéj istoty wytwarzać człowieka,
Przejrzéć na oczy, które noc zasłania,
Nie można błędów obchodzić z daleka,
Nie można wielkim być bez ich poznania.

Zgrzeszyć po ludzku nie zbrodnia lecz cnota,
Która prowadzi do boku mądrości;
Zbrodnią jest tylko, ugrzązszy wśród błota,
Nie chciéć się podnieść z grzesznéj wstydliwości.

WIERSZ SZYMONA NADSONA

Milcz! niechaj błyszczy łza na rzęsie,
Niech serce pęka w zwątpień szale!
Smutków nikt z serca nie otrzęsie,
Choć ból je szarpie kęs po kęsie,
Z przeznaczeń siłą walcz zuchwale.

Choćbyś z nadludzką zrósł się trwogą,
Choćbyś z dnia na dzień mniéj czuł siły:
Milcz! bowiem zajdziesz oną drogą
Szybciéj, niż inszy ludzie mogą,
Do celu życia — do mogiły.

TEGOŻ WIERSZ DRUGI

Słodka, marzeniem zwrotka uskrzydlona,
Nigdy mi w nudzie nie była zabawą:
Co w sercu burza niszczyła szalona,
W posłuszne wiérsze wyléwałem łzawo.

Nad każdą pieśnią cierpiałem dręczony
I wszystkie twórcze dumy mnie trawiły,
I nawet piéwcy dar błogosławiony
Wydał się nieraz krzyżem ponad siły.

Już przysięgałem był serca nie męczyć
Pieśnią, lecz z tłumem zlać się w niepamięci —
Ale eolska harfa musi jęczyć,
Gdy po jéj strunach wietrzyk się zakręci.

Nie ma też władzy wiosną potok rwący
Wstrzymać na skałach wód w ciasnym korycie,
Kiedy na góry blask słońca gorący
Pada — i śniegi rostapia na szczycie.

TEGOŻ WIERSZ TRZECI

Chciałbym na skrzydłach umrzéć upojenia
Milczący, cichy, jak ptacy, gdy drzemią,
Bez mąk pokuty, żalu i zwątpienia,
Bez łez i czułych pożegnań ze ziemią.

Chciałbym umiérać w dzień wiosny wspaniały,
W cienistym sadzie, po słońca zachodzie,
Chciałbym by lipy nademną drzémały,
Woń bzów kwitnących pływała w ogrodzie.

Ażeby ruczaj tajemniczym brzmieniem
Wtórzył téj ciszy, szemrając w ukryciu,
Zaś uroczystym niebiosy milczeniem
Opowiadały mi o przyszłym życiu.

Bym się nie modlił i nie skupiał ducha,
Ale się zdrzémnął i śnił najwspanialéj:
Że płynę, płynę i, że fala głucha
Bez dźwięku drugiéj mnie oddaje fali.

STARA ALTANKA

Tonie w gąszczach ogrodu altanka;
A zieleni przeźroczysta tkanka
Na spróchniałe wzwyż wspina się ściany;
A wskroś zieleń w okienko kwiatowe
Jasno słońce spoziéra majowe.
W mrocznych kątach nić przędą pający,
Wejście jaśmin zakrywa pojący;
Wewnątrz stolik w deseni cyfrowe
I wiérszyki całkowo spisany —
Na stoliku bukiet zapomniany.

TEGOŻ WIERSZ PIĄTY

Nie cały jestem twój, mnie woła
W odrębny świat głos przeznaczenia
I nic zatrzymać mię nie zdoła:
Ni łzy ni ocząt przymilenia.

Kochając ciebie pamiętałem
Że celem życia nie pieszczoty.
Tęskniąc za wszystkim, co śpiéwałem,
Ku gwiazdom marzeń wznoszę loty.

Nie umieściłem też w zatoce
Wywrotnéj dni doczesnych łódki,
Lecz mknę po grzbiecie fal w pomroce
Na walny bój przez mgły i smutki.

ZAZDROŚĆ

O, nie zazdroszczę mocarzom ja chwały,
Ani zaszczytów, ani dyjademu;
I bez królestwa dzień dla mnie za mały.

Téż, nie zazdroszczę baszy tureckiemu
Białych niewolnic, które ewnuch stary
Wodzi po wonnych ogrodach haremu.

I z jedną można cieszyć się bez miary,
I jedno serce rozweselić może,
I z jednéj sącząc, można spić się czary.

Ani zazdroszczę ludziom, którzy w tłumie
Są obrazkami człowieczéj potęgi
I, jak po bruku, depcą po rozumie.

Ani tym, którzy z ciężkoumnéj księgi,
Chcąc wydrzéć wszelkich tajemnic klucz boski,
Skręcają w szyji zleniwiałe kręgi.

Ale zazdroszczę tym, co w głębi wioski
Dziedziczną ziemię orają poczciwie,
Na małych rzeczach małe mając troski:

Szczęście w złoconéj pokładają niwie.

DANINA

I który ma i który krówką orze,
Daninę świeckim obyczajem składa;
I pan majętny i chude niebożę
W przeddzień terminów wzdychająco biada.

A ja, posiadacz uczuciowych włości,
Miałbym nie biadać na srogie ciężary?
Poborczy smutek wciąż w mym domu gości
I łzy z powagą liczy, jak talary.

PRZEZNACZENIE

Już dzisiaj w sercu mojim mieszka
Bólu zatruty wąż,
Tocząc je zębem jadowitym,
Krwią moją żyje wciąż.

Czego za życia nie zniweczy
Sercowych bólów gad,
Po śmierci, w trumnie, zjé do szczętu
Prawdziwych węży jad.

DO JEDNEJ PRZYJACIÓŁKI

Ty się nie dziw, że na każdym kroku
Chadzam z myślą w nierozłącznéj parze,
Co otacza mnie nakształt obłoku,
Któréj z czoła przenigdy nie zmażę.

Ty się nie dziw, że do niéj przykuty,
Jako Chrystus ciérpiący do krzyża,
Spełniam czarę życiowéj cykuty,
A mój duch się ku śmierci nie zbliża.

Jestem żeglarz tonący na morzu,
Losom szczęścia oddany rozbitek;
Ryczą fale na sinym przestworzu
I ocean godzi we mnie wszytek.

Więc się myśli chwyciłem w rospaczy,
Jak tonący za krokiew się chwyta,
I tak płynę, rozbitek tułaczy,
Ocalenia jutrzenka mi świta.

Gdyby nie ta myśl, środek jedyny,
Doprowadzić mający do brzegu,
Byłbym dawno wśród morskiéj głębiny,
Okrutnego poszukał noclegu.

I o jedność kraj zmarłych przyludnił,
Tych umarłych, co chodzą po ziemi,
A ocean nademną by dudnił,
Wiatr rychotał jęki szyderczemi.

UPOMINKI

Kiedym z odpustu przywiózł kogutka,
Wielką była ich tkliwość;
Za grosz, rzucony w torbę kramarską,
Kupiłem był życzliwość.

Kiedy im rzewne dałem piosenki,
Z gniewu poszkarłacieli;
Za trud, rzucony w torbę społeczną,
Miałem nieprzyjacieli.

CZTEROWIERSZ

Trudno chciéć, aby lutni śpiéwania wykwintne
Obok bębnów żołniérskich miały pozór piosnek;
Trudno chciéć, by fijołków woni aksamitne
Czuć dawały się, kiedy rzędem kładą czosnek.

JESIENIĄ

W szczérym polu jakże pusto,
Jakże tęskno na jesieni!
Staw, pokryty zmarszczek chustą,
Brylantowo się nie mieni.

Już do słońca się nie wdzięczy,
Kołysany wiatrów wiewem,
I nie igra barwą tęczy,
I nie szemrze dawnym śpiewem.

Zwiędły miękkich łąk kobierce,
Wysypane kwiatów smugą,
Zasmucając ludzkie serce,
Że uwiędły na tak długo.

Drzewa sterczą, by szkielety,
Zżółkłe liście ścielą ziemię,
Wszystko niknie już — niestety!
Wszystko snem jesiennym drzemie.

Wszystko ginie — myślę sobie,
Zapatrzony w ziół konanie,
Wszystko sił zaczerpnie w grobie,
Stokroć świéższym zmartwychwstanie.

Jak to dziwne! wszystko wstanie,
Sen z omdlałych powiek zrzuci,
Zérknie jaskiér w łąk dywanie,
Ptaszę wrotną pieśń zanuci.

Jak to dziwne, niepojęte!
Teraz cicho, smutno, głucho,
Na raz wszystko uśmiéchnięte....
Tu mi szepnął wiatr na ucho:

Jak to dziwne! jak mistyczne!
Wszystko z grobu się podniesie,
Wrócą kwiaty sympatyczne,
Wróci paproć w gęstym lesie.

Lecz nie wrócą dni minionych
Czarodziejskie, złudne chwile,
Świéżość uczuć rostrwonionych
Nie zaczerpie sił w mogile.

Nie odżyje marzeń kwiecie,
Któreś kładł na snów piedestał,
Nic, coś kochał był na świecie,
Choćbyś żyć, jak ziemia, przestał.

POETA SOBIE

Przez lasy życia dąż i dąż do końca,
Łamiąc oburącz gałęzi przeszkodne:
Wybrnąwszy, ujrzysz smętny zachód słońca
I niebo wielkie, spokojne, pogodne.

Strudzony spoczniesz pod śmierci skrzydłami,
A gdy spać będziesz, inszy lutnik młody
Temi samemi ciężkiemi drogami
Iść będzie, łamiąc odrosłe przeszkody.

PIEŚŃ ANAKREONA

Ty bój Teb opiéwasz męski,
Inszy Frygów znój zapasny,
Ja, miast cudzych wojen klęski,
O porażce śpiéwam własnéj.

Mnie nie jazda zwyciężyła,
Ni zaciężny huf piechoty,
Ani flota, ale siła:
Która z oczu miota groty.

TEGOŻ PIEŚŃ DRUGA

Tantalówna skamieniała
Niegdyś na frygijskich górach,
Pandjonówna uleciała
W lasy, na jaskółczych piórach.

Ja zaś, chciałbym się zamienić
Na błyszczące twe zwierciadła,
Abym wdzięki twe mógł cenić,
Byś wejrzenie na mnie kładła.

Twoją suknią chciałbym zostać
Nieodstępną, moja miła,
Bym pokrywał twoję postać,
Abyś codzień mnie nosiła.

Wodą chciałbym być zdrojową,
Skrapiać oczu twych przeźrocze;
Wonną maścią balsamową,
Byś trefiła mną warkocze;

Wstęgą na twym kształtnym biodrze,
Perłą szyjki twéj nadobną;
Ach! i nawet twym sandałem,
Byś mię gniotła nóżką drobną.

TEGOŻ PIEŚŃ TRZECIA

Znalazłem raz Erosa
Na listkach białéj róży:
Schwyciłem go za lotki,
Rzucając w puhar duży;

I z winem go wypiłem.
Ach! dzisiaj dni i nocy,
Skrzydełkiem mię łaskocząc,
Z méj śmieje się niemocy.

WESTCHNIENIE DO SWYWOLI

Trzeba jednę chwilę życia
Ofiarować przyjemności,
Myśl pogrążyć w oceanie
Pieśni, wina, róż, miłości.

Trzeba pośmiać się, orzeźwić,
U roskoszy ziemskich źródła,
Pożartować, poswywolić,
Krotofilne obuć szczudła.

Więc żartujmy, więc swywolmy,
Tońmy spólnie w marzeń wirze;
Biegną dni piérzchliwe życia,
Czas je wprawną ręką niże.

Nie zapyta się, okrutnik,
Ukończywszy rychło dzieło:
Aza kiedy złudne szczęście
W nasze oczy snem wionęło.

DO MIŁUNKU BEZ RYNSZTUNKU

Cieszmy się dziéwczę! mijają dzionki,
Coraz przykrzejszym życie się staje,
Nikną nadzieje, piérzchają mrzonki,
Gorzkim rozwagom myśl się poddaje.

Trąćmy w kiélichy: za wspólne zdrowie!
Etykietalny zrzućmy rynsztunek:
Niech serce wszystkie troski wypowie,
Przez jeden szczéry ust pocałunek.

Może zrzuciwszy brzemię milczenia,
Może zajrzawszy w oczy miłości,
Dusza rozerwie więzy zmartwienia,
Ku niebom jasnéj wzleci radości.

NAPIS NA PROPORCU ŻYCIOWYM

Zostawmy skrzydła ptakom, co stworzeni
Do wieczystego chmur wilgotnych darcia,
Zwinnie żeglując w powietrznéj przestrzeni
Są, jak niektóre serca — bez oparcia.

Zostawmy gwiazdy wieczystym obrotom,
A księżyc lodom i martwemu snowi,
Ku planetarnym nie wzdychajmy wrotom
I nie zazdrośćmy tajemnic Marsowi.

Zstąpmy na ziemię, my mieszkańcy ziemi,
Do któréj rzadko z nas się kto pomodli,
My na jéj cudy i wspaniałość niemi,
My, których czoła ziemska myśl nie godli.

My, co karmieni od saméj kołyski
Nieudolności nierozumnym mlekiem,
Przeciwko jaźni miotamy pociski,
Mieniąc największą hańbą być człowiekiem.

Ziemia jest piękną. można na jej globie
Żyć i dostąpić szczytnych zadowoleń,
Lecz trzeba piérwéj ślub uczynić sobie,
Żyć życiem ludzi i życiem pokoleń.

Trzeba nam ludźmi być i ludzkich rzeczy
Nie skrywać skrzętnie pod milczenia korzec,
I samych siebie na bacznéj miéć pieczy,
Rzeczywistości wstrząsając proporzec.

Lecz pokąd życia będziemy się wstydzić,
Własnych uczynków fałszywie zarzekać
I, jak z augura augur drugi szydzić,
I, jako brytan, na cień własny szczekać:

Ziemia nam będzie nieznośną oberżą
W któréj popasać będziemy chwilowo,
Zaś jéj panami owi, którzy dzierżą
Rzeczywistości chorągiew życiową.

CICHA WODA

Cicha woda brzegi rwie,
Huczna woda zrywa tamy,
Kocham obie, kocham dwie:
Siła ich ma spólne ramy.

Człowiek cichy snuje plany
Skrycie, i odrzuca złe,
A gwałtowny, bez nagany,
W oka mgnieniu tworzy swe.

Kocham piérwszych, bo z ich prac
Każda się wyłania w porę;
Kocham drugich: ogniem rac
Czyn namiętnéj duszy gore.

JESIEŃ ŻYWOTA

Kocham człowieka, na którego czele
Jesień życiowa wyradliła znamię,
Który przebolał i przeciérpiał wiele,
Którego oko spokojne nie kłamie;

Który i kochać i przeklinać umiał,
W którego sercu ogień tlił się złoty,
Który ten ogień łzą rzewną przytłumiał,
Znał kres nadzieji, rospaczy, tęsknoty.

Bo umié pojąć dziwne serca drżenie,
I inszych ludzi myślowe rospacze
Umié szanować, jako swe wspomnienie,
W obojętności nieraz z niemi płacze.

OSTATNE KWIATY

Piękny, miły kwiatek ten
Co się kluje z śniegów pleśni
Jaknajwcześniéj,
Kiedy ziemia ledwo prześni
Białogwiezdny, długi sen.

Ale droższym dla nas kwiat
Który chłodną jesień wita,
Kiedy żyta
Wzeszły w polu, gdy okryta
Ziemia rankiem w szronów płat.

Droga pieśń młodzieńczych dni,
Gdy ją wiosna rodzi bratna,
Lecz ostatna,
Z którą życie się ulatnia
Uczuć, stokroć droższą mi.

ROZMOWA

Jeden o drugim mówił w uniesieniu:
Człek ten ksiąg wszystkich przeczytał połowę!
A który słuchał, odparł: by to wmieścić
Musiał mieć biédak wielce pustą głowę.

NIE BIERZCIE ZA ZŁE

Nie bierzcie za złe, jeżeli za dużo
Smętku jest w lutni mojéj każdym tonie;
Miasta i ludzie miastowi nie służą
Myślom błądzącym po wiejskim zagonie.

Złóżcie mi jeden włók ziemi w ofierze,
Bym na szlachetnéj wyświéżył myśl glebie,
A wówczas w lutnię tak błogo uderzę,
Iż piérwszym Bóg się uśmiéchnie na niebie.

OBWIESZCZENIE

Nie przyszliśmy nauczać z bożego ramienia,
Ni tłómaczyć przedziwne na świecie zdarzenia,
Ani dawać świadectwo, ani sądy czynić,
Tych w pochwałach wynosić, a tych znowu winić,
Ale słowem, co duszą w wieków jest systemie:
Obwieszczać nasze przejście solenne przez ziemię.

WSZYSTKO NA ŚWIECIE JEST KOMEDJĄ

Wszystko na świecie jest komedją,
Która bądź śmiéch, bądź łzy pochłania:
Komedją przyjaźń, interesy,
Miłość, nadzieje, żałowania,
Co dziś czynimy, co czynili,
Prócz jednéj tylko może chwili:

Téj, w któréj człek, wzgardziwszy światem,
Rokoszne serce piórem bodzie
I cały w pieśń przekształtowany
Łka, jak fontanna na ogrodzie.

KSIĘGI DRUGIE

U STÓP PIERWSZEJ MIŁOŚCI

PIERWSZEGO UPOJENIA I PIERWSZEGO SMUTKU

SKŁADAM TEN Z WIERSZÓW SPLECIONY WIANUSZEK

DŹWIĘCZYK

Zanim się duch mój oblecze w legiendę,
Kości spróchnieją w sarkofagu cieśni,
Miłość brzmieć będzie z mego serca cieśni,
Zanim się duch mój oblecze w legiendę.

Umarły, jeszcze ubożniać cię będę,
W eolskich echach wyśpiéwanych pieśni,
Miłości, duszo żywota i pieśni!
Umarły, jeszcze ubożniać cię będę.

Ty nad mogiłą staniesz, jako pomnik,
Księgę pieśniarską weźmiesz za naręcze.
I dumać będziesz, piastując naręcze.

A ja przemawiać będę przez on pomnik,
Snując nad tobą drżącą czuciem tęczę,
Strof miłujących miłującą tęczę.

CZARODZIEJKA

Dokąd mię wiedziesz, pani tajemnicza,
Czemu zagadką kres drogi otulasz?
Światłość cherubów bije ci z oblicza,
A woń rozléwasz, jak wschodny trybularz.

Za karmicielką wypieszczone jagnię
Pewnie skwapliwiéj nie biegnie odemnie;
Nakształt błędnika po obszernym bagnie
Ulatasz lekka, śmiejąc się tajemnie.

Ty może jesteś baśń malachitowa,
Co mi się w myśli od dzieciństwa roji,
A możeś cudna snów gwiezdnych królowa?

Więc, jako rycérz w średniowiecznéj zbroji,
Pójdę twym śladem, Meluzyno nowa!
Lecz dokąd wiedziesz? do smutku podwoji.

ECHO Z GÓR

Wraz z Popradem lecę, płynę,
Nurt pobrzeża rwie obręczy,
Po skaliskach wody sine
Błyszczą nakształt barwnéj tęczy.

Płynę, lecę wraz z Popradem,
Niby upiór widną nocą;
Chmurki błądzą białym stadem
Złote gwiazdy w mgłach migocą

Rzeka szumi, pianą pryska,
Jak potworu paszcza smocza,
A miesięczny szlak przebłyska
Ze spienionych wód przeźrocza.

Tak mi dobrze! błękit nieba
Księżyc srebrem opromienia;
Ach! i nic mi nie potrzeba
Prócz jéj oczu, jéj spojrzenia.

RZEŹBA

Rzeźbiarz, wzjąwszy w rękę twardy kamień
Z podłéj bryły dziwną postać tworzy.
Kiedy dłuto stępione odłoży,
Marmur światłem olśniéwa omamień.

Piérwsza miłość jest także rzeźbiarką,
Która kształty daje młodéj duszy,
Ludzki przesąd hardym młotem kruszy,
Boskie dzieło wytwarzając szparko.

Lecz, jak rzeźbę poddatną na szwanki,
Umie gruba ręka stłuc profana,
Tak i dusza boskością owiana,
Może rozbić się w ręku profanki.

SZLACHETNOŚĆ

Szlachetność! łatwe słowo do wypowiedzenia
Dla tych, którzy od oczu jéj stanęli zdala,
Dla których ona gwiazdy drożnéj nie zapala,
Będąc obcą z oblicza, nieznaną z imienia.

Szlachetność! tego słowa tajemnicze brzmienia
Ślizgają się, jak słońce po ściankach opala,
Na ustach rzeszy ludzkiéj, co bezwiednie kala
Wymawianiem wyrazu tego swe sumienia.

Szlachetność? łatwe słowo! choć się jednak złoci
W oczach ludzi przejrzystą, niezamgloną tęczą,
Trudniéj odkryć się daje, niźli kwiat paproci.

Przed dworem szlachetności blade troski stróżą,
Wszystkie ludzkie ciérpienia, poklękawszy, jęczą:
Aby zostać szlachetnym, trzeba ciérpiéć dużo.

POWITANIE TATRÓW

Jedziemy, zmrok zapada; z góralskiego wózka
Sięgam wzrokiem po Tatrów skaliste przedmurze;
Zdaleka przemknie chyżo zapóźniona kózka,
Bokiem górskie potoki szemrzą w zgodnym chórze.

O, góry, mroczne góry! pełne dumy stróże,
Których czoła wieczorna mgła w przeciągu muska,
Pozdrawiam was, cyklopy, zwalczający burze,
W chwilach ciszy wsłuchani w płynny śpiéw korduska.

Entuzjazm mię ogarnia, spoglądam w lazury,
Wskroś gwiazdy koczujące oko się przekrada
I tonę w oceanie wiatrów, orzeł wtóry.

U stóp Olimpu grecki pątnik czołem pada,
A ja przed wami zginam kolana, o, góry!
Tak wita syn rodzica, wnuk starego dziada.

KAMIENNA POSTAĆ

Jest w Tatrach skamieniałość,
Odziana rąbkiem mgły;
U stóp jéj rumowiska,
Porosłe w chłodne mchy.

A górą, w noc miesięczną
Tysiące błyszczą gwiazd;
Rankiem szybują orły,
Wyjrzawszy z chłodnych gniazd.

Po bokach śpiéw ruczajów,
Katarakt głuchy szum,
Za kaskadami, w lasach,
Ech smętnych płacze tłum.

Niewiasta na urwisku
W przepaści patrzy głąb,
Burza jéj nie przeraża,
Czasu nie tyka ząb.

Krzemienna, nieruchoma,
Ręce złożywszy w krzyż,
Nakształt dumy zgwałconéj
Nie wznosi oczu wzwyż.

Noc szumna: wiatr rychocze,
Krawędzi liże ścian,
Potoki wodę pędząc,
Unoszą smugi pian.

Na postać patrzę martwą,
Źrenice błyszczą mi,
Wokoło huraganem
Wrześniowy wicher grzmi.

O, gdyby tak skrzemieniéć,
Nijoby znaleść skon!
Serceby nie jęczało,
Jak rospękany dzwon.

O! możnaby szyderstwo
Z krzemiennych oczu siać,
Nie tęsknić, nie przeklinać...
Wiecznie kamiennym stać.

NA RZECE

Tajemnie na mnie spoglądasz,
Z oczu ci strzela blask słońca;
Cicho płyniemy we dwoje,
Wciąż daléj, daléj, bez końca.

Wesołą piosnkę zawodzisz,
Echa z echami się plotą,
A ja niknących odgłosów
Słucham z przedziwną tęsknotą.

Bo cóż, że ciebie przeprawię
Sokolą łódką na hale?
Wszak inszy wkrótce stér ujmie,
Przez życia wioząc cię fale.

MODLITWA

Wieczór na turniach milcząco zasiada,
Górskie wiérzchołki drzémią w mokréj mgle;
Seledynowy nurt poważnych jezió́r
Pod strażą głazów śni;
Jęczą kaskady płaczem obłąkanych,
Staczając wody w przepaścistą głąb;
Wiatr przelatuje na skrzydłach pomroku
W krzemienną dal.

W wielkiéj świątyni świątyń przyrodzenia,
Któréj sklepieniem firmamentu łuk,
A filarami wielki krąg kolosów,
Rozmarza się mój duch,
I stoję cichy, skromny, z kornym czołem,
Oczyma błądzę po królestwie gwiazd,
A z mego serca wypływa modlitwy
Skrzypcowy ton.

Boże! wędrowiec, w téj wieczornéj chwili,
Pozostający z tobą sam na sam,
Chciałbym rospłynąć się w nieskończoności,
Podobnie lotnéj mgle;
Aby, wniknąwszy w każdą z twojich cząstek,
Złożyć wdzięczności bezgranicznéj hołd
I ze spokojem snuć następnie pasmo,
Marzących snów.

O! dzięki tobie, żeś utworzył ziemię,
Oceanami oblał stały ląd,
Każdéj krajinie hojne rzucił dary,
Każdéj odrębny wdzięk;
Żeś między wszelkie żyjące stworzenia
Wprowadził ludzi, ludziom nadał myśl,
I żeś w tym wielkim tłumie człowieczeństwa
Postawił mię.

O! dzięki tobie, że niekształtne bryły
W cudnéj harmońji potrafiłeś wznieść,
Rzeźbiąc łożyska srebrnym wodospadom,
Potokom dając śpiéw,
Żeś nad górami niewidzialną dłonią
Rozrzucił stada zielonawych gwiazd,
Aby na jeziór dziwokie źwierciadła
Rzucały wzrok.

O! dzięki tobie, że mi dozwoliłeś
Ubóstwiać siebie wśród tatrzańskich skał,
Wielbić te gwiazdy, które ciągną górą,
Szumiący kochać wiatr,
I przed natury wzniosłym majestatem
Otwiérać serce i kolana giąć,
I w przyrodzenia bezściennéj świątyni
Kapłanem być.

Przez to, iż dałeś mi takową duszę,
Co równa tonom rozżalonych harf,
Która potrafi smucić się w cichości
Lub z podziwienia róść;
I ku wyżynom rwie się pełna mocy,
Między obłoki a orłowy skwirk,
I dzięki tobie, żeś mi śpiéwną mową
Napełnił pierś.

SZCZĘŚLIWA

Kiedy widziała, jak wskroś mgliste gazy,
Miesiąc na nocną wędrówkę wypływa,
W dziwne chwilami wpadała ekstazy,
Szepcąc raz po raz: ach, jakżem szczęśliwa!

Gdy na gór stromych szczérbate korony
Spojrzała, niby sarenka lękliwa,
Chciała jaskółcze miéć skrzydła Pandjony
I znów szeptała: ach, jakżem szczęśliwa!

Kiedy wzdłuż rzeki wieźli ją łódkarze,
A statek śmigał w wąwozów zagięcia,
Myśl jéj ze szczęściem biegła w równéj parze,
W dłoń klaszcząc, śmiała się nakształt dziecięcia.

Kiedy góralską przywdziała sukienkę,
W siódmego była posiadaniu nieba;
Ja wówczas rzekłem, ująwszy jéj rękę:
Pani do szczęścia niewiele potrzeba.

ZAMEK WŚRÓD JODEŁ

Na wysuniętéj górze szumią stare jodły
I stérczy szkielet zamku w blasku krwawéj zorzy;
Nikt pancernych podwojów z chrzęstem nie otworzy,
Podróżnym, którzy ciągną z pielgrzymiemi modły.

Baszty w gruzy runęły, po nich pną się bluszcze,
Bujnym chwastem zarosła w podwórzu fontanna,
Dzisiaj pieśń, o marmury, nie wydzwania szklanna,
Rankiem zbłąkany głuszec skrzydeł tu nie pluszcze.

Rujino! martwą jesteś dla zwykłego widza,
Niemym filar strzaskany, a obdarty cokuł
Tajemnicy nie zdradza, sławy nie wyszydza.

Ale, kiedy poeta na zczerniałe cegły
Stąpnie, wzrokiem powiedzie, wszystko żyje wokół
Zamek, ludzie i czasy, które w gruzach legły.

PATRZĘ W NIEBO ZADUMANY

Patrzę w niebo zadumany,
Stojąc w cieniu na balkonie;
Noc ujęła berło władzy,
Wystąpiwszy w gwiazd koronie.

Po trawistéj, świéżéj hali,
Dym srébrnemi pełza pasy,
A za halą stérczą góry,
A na górach drzémią lasy.

A tak cicho, tak spokojnie
Każdy obłok naprzód dąży,
Że oniemal słyszéć mogę,
Jak krew w żyłach mojich krąży.

Taki spokój jest w wszechświecie,
Jako w dniach jego początku,
Gwiazdy palą się i płyną,
Nie zakłóca nic porządku.

Tylko jedna mała gwiazda
Jaśniéj błysła w nieb przystani,
W mgnieniu oka, drżąc, upadła
W tajemnicze mgieł otchłani,

Wyzłacając fosforycznie
Szlak upadku wskroś etery;
Cicho było dookoła,
Spokój płynął z górnéj sfery.

Żadna z gwiazd się nie przyćmiła,
Księżyc świéci po dawnemu,
Noc przepaściom nie oddała
Północnego dyjademu.

Bo cóż jedna gwiazda znaczy,
Przeznaczona na zgaśnięcie?
Miljard inszych blask rosprasza
Na pogodnym firmamencie.

Wszak i niżéj, tu na ziemi,
Skoro jeden człowiek skona,
To ta śmierć nie kładzie tamy
Porządkowi dusz miljona.

CHORA DZIEWCZYNA MIKOŁAJA USTJANOWICZA

Gdy słonko zajdzie, uwodząc precz dzionek,
W zielonym gniazdku ucicha skowronek,
Gwiazdy migocą i księżyc wypływa,
I do snu ma się każda dusza żywa —
Ja biédna dumam i troskam się w sobie,
Do gwiazdki wzdycham, z miesiącem howorzę,
Tak mi bo tęskno, tak na czymś mi zbywa,
Czym ja nie chora, o — Boże?

Ożyła ziemia, a z kwietnéj już dłoni
Wiosna po łąkach sypie świéże woni,
W polu rówieśne, jako sokolice,
Krążą radosne ukazując lice;
A ja samotnie siaduję w komorze,
Co splotę wianek, to znowu rosplotę,
I łeska mokrzy mi czemuś źrenicę,
Czym ja nie chora, o — Boże?

Otworzę okno — tam pieśnią słowiczek
Do snu usypia najmilszą z podwiczek,
A we mnie serce, jak rybka trzepoce,
Napróżno oczy zamykam w pomroce,
Biję się z myślą, jak z wiatrem bylina,
To znowu płaczę, jak dziecko nieboże,
Coś duszę zżyma, coś serce druzgoce,
Czym ja nie chora, o — Boże?

W niedzielę stałam z południa w okienku,
Śpiéwałam piosnkę o płochym Jasieńku,
Aż tu kawaler, jak słońce z krynicy,
Spojrzał się na mnie i zniknął w ulicy.
Coś mię ubodło, ot tutaj w serdeńko,
A wszystko stało się smutnym na dworze,
Co za dziw wielki, urok czarownicy!
Czym ja nie chora, o — Boże?

Coś mię do okna wciąż ciągnie wśród męki,
Z ręku wypada, co wezmę do ręki,
W liczko krew bije, wciąż bije, potrosze,
Gdy ognia trzeba, ja wodę przynoszę,
Obiad mi nie w smak, sen ócz się nie ima,
Ciągle oglądam się na drzwi i trwożę,
A gdy drzwi skrzypną — to cała się płoszę,
O Boże, Boże, mój Boże!

SIELANKA

Po lazurach księżyc płynie,
Wiedzie gwiazdy w mroczną dal.
Nad źródełkiem w olch gęstwinie
Marzy chłopiec przy dziewczynie,
Słucha plusku dźwięcznych fal.

Wieczór cichy, tajemniczy...
Ileż westchnień, czułych słów!
Pocałunków nie naliczy,
Za olszynką derkacz krzyczy,
Nad olszynką błyszczy nów.

Rączka w rączkę, usta w usta,
Kochasz? kocham! szepce głos;
Śmiéch a gniéw, gawędka pusta,
Wietrzyk trawę zlekka huśta,
W perłach rosy tonie wrzos.

Cicho, głucho w olch gęstwinie,
Źródło szemrze pluskiem fal;
Marzy chłopiec przy dziewczynie,
Po lazurach księżyc płynie,
Wiedzie gwiazdy w mroczną dal.

DO JEDNEGO CYGANA

Słuchaj mię, cyganie stary,
Płakać dzisiaj muszę,
Podejdź do mnie, podejdź bliżéj,
Zagraj! dam ci duszę.

Twoje pieśni besarabskie
Pachną dzikim zdrowiem,
Zagraj mi — o! — powłóczyście,
Jako zaraz powiem:

Zagraj piosnkę staroświecką,
Którą mi śpiéwała
Tkliwa maciérz, gdy mię dzieckiem
Do snu kołysała.

Wskrześ mi ogród nasz maleńki,
Drzewa i owoce,
I tych duchów, co pływały
W pośród drzew w pomroce.

Tego ojca, który drzewka
I kwiatki chodował,
A wieczorem na skrzypeczkach,
Jako ty dziwował.

Wskrześ mi siostrę złotowłosą,
O chabrowym oku,
Z którąm igrał był i biegał
Od rana do zmroku.

Zagraj mi ten dzień wrześniowy,
Dziwnie dzień wesoły,
W którym z głową podniesioną
Szedłem był do szkoły.

Wskrześ mi psotnych rówieśników,
Wdzięczne rówieśnice,
Którzy albo śpią pod ziemią,
Lub zmieniły lice.

Czaruj mi tę pannę młodą,
Co w okienku stała,
A mną chłopcem małoważnym
Srodze pogardzała.

Czaruj piosnki narodzenie,
Duszy méj śpiéwanie,
I bezbożne, podpatrzone,
Panny całowanie.

Zagraj północ księżycową,
W któréj zrospaczony
Z czarką szedłem był trucizny
W zagrobowe strony.

Czaruj mi rodaczkę swoję,
Co w me oczy łzawe
Patrząc, chłopcu raz wróżyła,
Pogrobową sławę.

Śpiéwaj czerstwość i odwagę,
Dumy, sny, nadzieje
Młodzieńczyka, co się do mnie
Z dni dalekich śmieje.

A zaś teraz graj, cokolwiek
Zagra czuła ręka —
Grzmij! nie lękaj się o strony,
Skoro serce pęka.

Ciszéj, ciszéj graj, staruszku,
Odgłos dzwonów płynie:
Ludzie z miasta niosą zwolna
Czarną, ciężką skrzynię.

Pod cmentarną darń zieloną
Na wieczyste spanie
Idzie sobie precz poeta —
Zagraj mu, cyganie:

Onę piosnkę staroświecką,
Którą mu śpiéwała
Tkliwa maciérz, gdy go dzieckiem,
Do snu kołysała.

WAGRAM

Niebo błyszczy gwiazdami pogodnéj jesieni,
Księżyc, niby świetlana plama, w górze świeci.
Pędzimy siłą pary szumiącéj niesieni,
Furczą koła powozów, pociąg z wiatrem leci.

Zwalnia biegu — przystanek; budzę się w wagonie,
Jako młynarz, gdy nocą staną młyńskie koła;
Chrupie żwir pod stopami służby na peronie,
Konduktor, obiegając pociąg, Wagram! woła.

Wagram! Wagram! zadrżałem; głos zamilkł; jedziemy.
Ja jeden wyglądałem oknem z podróżników:
Myśląc, że ono słowo chór wyjęczał niemy
Poległych przed latami Napoleończyków.

CZY WSPOMINASZ?

Gdy przemarzywszy sen przy tobie krótki,
Za stér ująłem kruchéj życia łódki,
I płynę na niéj, samotny marynarz,
Gdy czarną burzę mam wkoło i smutki:
Czy mię wspominasz?

Piérzchły dni złote, piérzchły sny wysnute,
Przebrzmiała piosnka na chłopięcą nutę,
Pękła marzenia niewinnego tęcza,
Wszystko minione, jakby na pokutę,
Piersi udręcza.

Dziś we mnie godzą melancholji miecze,
Wieczór w głębokiéj zadumie się wlecze,
I serce smutne mam, jakoby cmentarz,
A piérwszy całus twój usta mi piecze,
Czy go pamiętasz?

Ja bo pamiętam! wszak w znojnéj podróży
Wśród trzasku gromów i poświstu burzy,
Nieraz się chwytam za ramię wspomnienia,
I jaka taka otucha mi służy,
Świt ocalenia.

Arab, milczącą wiodąc karawanę,
Patrzy na gwiazdy rzęsiście rozsiane,
I gwiazdy wiodą sennego wielbłąda;
Arab ma w niebie gwiazdy dobrze znane,
Na nie spogląda.

Jam jest on Arab, a zaś karawaną
Żywot dni mojich z żałością rozlaną,
Ty zaś, daleka, błyszczący luminarz,
Który mię wiedzie w przyszłość nieprzejrzaną...
Ty, czy wspominasz?

POD KOPKĄ SIANA

Pod kopką siedliśmy raz siana,
W południe, nad Bzury brzegami;
Szumiała rzeczółka wezbrana,
Wiatr wstrząsał staremi lipami.

Pod kopką wsłuchani w fal szumy,
Całusy mieliśmy na pieczy
I, polne spijając perfumy,
Wiedliśmy rozmowę od rzeczy.

Tę kopkę oddawna przeżuły
Fornalki i młode cielęta;
Wspomnienie na kartę bibuły
Przeniosło się, jako rzecz święta.

WIDZENIE

Wieczór przenudny! jeden z tych wieczorów
W których się człowiek rospływa z tęsknoty;
Książek mam pełno, lecz niéma ochoty!
Myśli zabrakło jaśniejszych kolorów.

Milcząc fliżankę herbaty naléwam;
Tytuń zazwyczaj czas ukraca mile;
Więc farsystańskie zapalam nargile
I ciągnąc smoczek, smutnawo poziéwam.

W dymie kochanki widzę nikłe cieni,
Trzyma fliżankę, pędzelek, paletkę,
Maluje róże w mgławicznéj przestrzeni.

Znika; po ścianie gonię jéj sylwetkę,
Na widok czarki łza w oczu się mieni:
Toć Ona na niéj kładła z róż winietkę.

JEŻELI PRAGNIESZ

Jeżeli pragniesz, kochanku młody,
Fatamorgany podziwiać cud:
Nie zgłębiaj nadto księgi przyrody,
Lecz się w Arabów wsłuchuj przygody,
Wierząc, co prawi wędrowny lud.

A na zjawisko patrzaj zdaleka,
Lepiéj się cofnąć z wielbłądem wstecz,
Bo za zbliżeniem dziwo ucieka,
Niewidzialności mgła je obleka,
Napotkać drugie — zbyt rzadka rzecz.

Chcesz li ziemskiego widziéć Anioła,
W oczu niewieścich, marzeniem żyć,
O! to nie całuj ust jéj ni czoła,
Bo piérzchną wszystkie złudzenia zgoła,
Przerwie się pieśni cudownéj nić.

Kochaj inaczéj! niechaj młodzieńcze
Myśli nie pragną zmysłowych dróg;
Dokoła złudzeń będziesz miał tęczę
I serce czyste, lekkie, pajęcze,
Lecz kochaj myślą, kochaj jak Bóg.

Cisza nad tobą skrzydła rospostrze,
Po wonnych różach będziesz mógł iść,
Rozgoryczenia nie tknie cię ostrze,
Gdy będziesz przy Niéj, jak brat przy siostrze,
Jak przy lewkonji hjacyntu kiść.

Lecz jeźli biédne serce ugryzie
Rozczarowania zjadliwy wąż:
Jéj nie potępiaj w serdecznéj kryzie,
Przeklęstw na życia nie noś dewizie,
Kochaj po ziemsku, lecz kochaj wciąż.

Pomnij na urok minionéj chwili,
Gdy ci przyświécał marzenia nów,
Kiedyście tchnieniem fijołków żyli,
Prowadząc żywot iście motyli,
Pośród złudzenia roskosznych snów.

NIERAZ MI SIĘ NOCĄ MARZYSZ

Nieraz mi się nocą marzysz
Piękna, cicha, posągowa,
Z karminowych ust wyrzucasz
Tajemnicze, słodkie słowa.

Gdy, zdrzémnąwszy się w fotelu,
W zwątpień odchłań myśli chylę,
Ty mi jedna w smętnéj dobie,
Rozmyślania słodzisz chwile.

Ty mi jedna na ramieniu
Dłoń położysz nimfo blada,
I rospędzasz pańskim wzrokiem
Złych upiorów gęste stada.

Ku mym piersiom głowę skłaniasz
I miłośnie patrzysz ku mnie,
I na ustach pełen woni
Pocałunek kładziesz dumnie.

Pragnęłabyś niezawodnie
Zwiać ze serca smutków brzemię,
Ulatując ze mną razem
Ponad ludzi, ponad ziemię.

Maro cicha, panno biała,
Mój aniele opiekunie,
Wracasz spokój tęsknéj duszy,
Gdy się postać twa przesunie.

Przy twéj piersi, dobréj piersi,
Jako ptaszę myśl hołubię:
Ufam, kocham, wierzę, roję,
W labiryncie snów się gubię.

SPRZENIEWIERZENIE

Żal mię o nocnéj zszedł godzinie,
Wśród przykrych myśleń ciągle marzę:
Sprzeniewierzyłem się dziewczynie,
Bóg za to pewnie mię ukarze.

Czemum niewiernym stał się? Boże!
Polecę do niéj wskroś przestrzenie,
Głowę na łonie jéj ułożę,
Prosząc o słodkie przebaczenie.

Nie byłbym był się sprzeniewierzył,
Gdyby nie różne dziwy one,
Jakiemi chochlik we mnie mierzył,
Odkwiécał serce wystalone.

Stała, jak posąg marmurowy,
Oczy bajeczny blask rzucały,
Włos spływał jéj falami z głowy,
Usta syrenio przemawiały.

Dokoła białe heljotropy
Odurzające woni snuły,
Marzenie biegło pod jéj stopy,
Rozmysły, chęci i skrupuły.

Upity zwolna, omamiony,
Przelękły własnych sił niemocy,
Upadłem w krągłe jéj ramiony,
Zégar godzinę bił północy...

Jak woda z prądem rzecznym płynie,
Tak popłynąłem z szałem w parze:
Sprzeniewierzyłem się dziewczynie,
Bóg za to pewnie mię ukarze.

PROŹBA

Nie odchodź! zimną staje się świątynia,
Kiedy z niéj Boga i ołtarz wyniosą;
Zostań, niech serce ciebie nie obwinia,
Rzęsa nie mokrzy się źreniczną rosą.

Tak nam zacisznie spływa życie społem,
Tak równobrzmiące dwojich serc marzenia,
Jakby nad naszym obopólnym czołem
Jedna błyszczała gwiazda przeznaczenia.

Tak mi przy tobie cicho, tak uroczo,
Jakbym w harfowe wsłuchiwał się dźwięki,
I żadne myśli zwątpień mię nie droczą,
I serce rzewne mam, jak głos lirenki.

Pozostań, kochaj, snujmy marzeń szarfę
W wiernych uścisków obopólnéj klamrze...
Lub przed odejściem strzaskaj moję harfę:
Runie gmach szczęścia, w piersi serce zamrze.

Tak w pyszny zamek, gdy go pan opuści,
Żałość z tęsknotą wzrok śmiertelny ciska,
Wyniosłe wspory w piwniczne czeluści
Lecą, żałobne piętrząc rumowiska.

POTWIERDZENIE

Że trwam w miłości, świadkiem owe mocy
Jakie na ciebie w chwili urodzenia
Wieszczki złożyły i twoje spojrzenia
Od których serce, jak ptaszek trzepoce.

Świadkiem pieśń moja i bezsenne nocy
I rozmodlonych oczu przywidzenia,
Wśród których chwytam rąbek twego cienia,
Gdy się przesuwasz obok mnie w pomroce.

Miłość, powszechnie dziś sprofanowaną,
Obdarłem jedno z zmysłowéj oznaki,
By pozostała we mnie niepoznaną

Od tych co, z uczuć przedziwnych wyzuci,
W szych biédną miłość chcą strojić dla klaki,
Wiecznie w aktorskie koturny obuci.

TROSKLIWOŚĆ

Mówili mi, żem smutny,
Że twarz mam bez kolorów;
Zwołali dla porady
Przyjaciół i doktorów.

Przy łożu mym siedzieli,
Kazali pić rumianki,
Jak gdyby ziółka mogły
Zastąpić wzrok kochanki.

EDEŃSKI KWIAT

Uwielbiałem, ubóstwiałem
Jéj źrenicy krople duże,
Usta zlekka rozchylone
Niby półroskwitłe róże —
I raz w szczęśliwe dni,
Kiedym w marzeń wkraczał świat,
Ona z ust podała mi
Edeński kwiat.

Ach! anieli duszę wzjęli,
Na bezszmernych niosąc lotach
W kraje dziwów fantastycznych...
Zasypiałem w jéj pieszczotach,
W pierś cudne woni tchnąc,
Płynąc w upojenia świat,
Z jéj poddatnych ustek rwąc
Edeński kwiat.

KAZANIE

Kazanie było w kościele,
Myśmy stanęli w oddali...
Ksiądz głosił, by parafjani
Szczérze się wzajem kochali.

Kochanko! pocóż nam było
Słuchać onego kazania?
Mogliśmy wręcz iść do nieba,
Będąc przykładem kochania.

MAJOWE NABOŻEŃSTWO

Kiedy maj, roskoszy miesiąc,
Po ogrodach przelatywał,
Siał fijołki i narcyzy,
Czarne drzewa przyoblekał
W szmaragdowy, młody liść;

A wychłódła, smutna niwa,
Po letargu przebudzona
Śnieżno biały włos traciła,
Przeradzając się z matrony
W najcudniejszą z wszystkich dziew:

Chadzaliśmy wieczorami,
Nastrojeni romantycznie,
Do kościoła na nieszpory:
Ja i Ona, serca mego
Nieoszacowany skarb.

Ona, klęcząc przed ołtarzem,
Kędy modlitw nikt nie wznosił,
Kędy w ciszy, oświetlony
Światłem okien różnofarbnych,
Opuszczony konał Bóg:

Tak modliła się serdecznie,
Zapatrzona w obraz skromny,
Jako biédna pokutnica,
Jak siérota ubożuchna,
Którą wzgardził cały świat.

Po jéj włosach utrefionych,
Pozwijanych w miękkie loki,
Ślizgał się w mieniącéj tęczy
Konający promiéń światła,
Z poczerniałych biegnąc szyb.

Ja, o chłodny filar wsparty,
Stałem, milcząc, na uboczu;
I patrzyłem na klęczącą,
Na modlącą się, promienną,
Na anielskość lubych lic.

I modliłem się téż... do niéj,
Myśląc sobie, że świątynię
Dla niéj wzniosły pokolenia
I, że ona w téj świątyni
To prawdziwy, wielki Bóg.

A to było — ach! — tak dawno!
Że już smutek mię ogarnia,
Kiedy wchodzę do kościoła
I organów słyszę grzmoty,
Pytające mnie o dni:

W których maj, roskoszy miesiąc,
Po ogrodach przelatywał,
Siał fijołki i narcyzy,
Czarne drzewa przyoblekał
W szmaragdowy, młody liść.

WSPOMNIENIA NASZEJ MIŁOŚCI

Wspomnienia naszéj miłości — to perły,
Łowione w żalów cichym oceanie;
Niech jaknajsporzéj w szkatułce pamięci
Drogich klejnotów zostanie.

Lecz umiérają wspomnienia — jak perły,
Kiedy w nich życia nie stanie:
Kąpmy je, kąpmy przy zorzach pamięci
W srébrnéj żałości wielkim oceanie.

PRZECHADZKA

Było jakoś w jesieni; wraz z tobą szedłem za miasto,
Szumem ostatnym drzew smutnych napawać ucho i serce.
Była ulica, dość wąska, po bokach domki drewniane
Słały się, chyląc z starości, podparte z boku belkami.
Tędy szliśmy za miasto, a zimno było w powietrzu,
Wiatr, szeleszcząc dokoła, zrywał kapelusz z twéj głowy.
W on czas rzekłem do ciebie: czy chcesz iść zemną pospołu
W świat, gdzieś daleko od ludzi, gdzie słońce ciepléj
przygrzéwa?
Tyś z uśmiechem spytała: i cóżbyś robił tam ze mną?
Tylko kochał, odrzekłem, a tyś dodała: to mało,

Z czegóż byśmy tam żyli, czym odziéwali się wreszcie?
Tam, odrzekłem ci, rosną wysmukłe palmy w koronach,
Na nich wiszą podłużne daktyle i figi z słodyczą;
Każdy może je zrywać, i jabym rwał je dla ciebie,
Znosił, jak można najwięcéj, pod dach lekkiego namiotu.
Głodu byś nie zaznała; a gdyby suknie się zdarły,
Z liści miałabyś szatę szerokich palmy figowéj;
Może suknia z tych liści prędzéj by tobie przystała,
Niźli z przędzy jedwabnéj, kroju i szycia miejskiego.
Szliśmy daléj za miasto, a ty się znowu spytałaś:
Czemu iść chcę daleko od ludzi i dobrych przyjaciół?
Ja odrzekłem: bo ludzie za wiele troszczą się o mnie,
Z sobą zbyt wiele gadają o mojim życiu i czynach.
Żyć bym pragnął w spokoju, nie słysząc uwag niczyjich,
Dobrze li czynię, że kocham, czy wstyd téż dla mnie
zbyt wielki
Serce w piersi mieć czułe i piękno kochać tym sercem,
Wzniosłym rzeczom hołdować, szlachetność cenić nad
wszystko.
Znowu się zapytałem: czy chcesz iść zemną, gdzie pragnę?
Tyś po chwili odrzekła, badawczo patrząc w me oczy:
Jakie dziwne żądanie, dzieciństwo przez nie przeświéca!
W on czas trysnął rumieniec na twarz mi smutku
i wstydu,
Szedłem nazad milczący i zachmurzony i gniéwny,
A przybywszy do domu, uciekłem w kącik samotny;
W uszu brzmiały boleśnie noc całą twoje wyrazy.

Dziś, po czasie, wspomniałem ową jesienną przechadzkę,
Myśląc: byłem szczęśliwym jeszcze zajiste w tym czasie,
Gdym otwarcie i śmiało wszystko wyznawał, co myślę.
Dziśbym tak nie zapytał, jak wówczas, kiedy w mym sercu
Więcej było prostoty, nauki dużo mniéj w głowie.

JEJ WIERSZ

Raz mi przed laty wiérsz napisała:
Nie wonnych pochwał ulotny dym;
Słabiutko myśli powiérszowała,
Tu ówdzie chromał jéj żeński rym,
Lecz, że smętnemu sercu śpiéwała,
W zbiorze pamiątek chowam go swym.

Byłem na ten czas ufny, młodziutki,
Piérwszéj miłości musnął mię wiew,
Szczérze miłował umysł mój rzutki,
Kipiała w żyłach gorąca krew;
Kiedy na sercu siadały smutki,
Odczytywałem dziewczyny śpiew.

Kiedy na niebios sennym błękicie
Błyszczały gwiazdy, kochanki snów,
Nieraz łza gruba upadła skrycie
Na kartę, paląc jedno ze słów...
Ja byłem pewny, że całe życie
Będę czytywał madrygał ów.

Mijały lata; różne wypadki
Zmąciły życia mojego tok;
Wiérsz odpoczywał w cieniu szufladki
Nie jeden miesiąc, nie jeden rok;
Dziś go wyjąłem z wonnéj okładki,
Zatapiam w pismo tęskniący wzrok:

Litery, drobną rączką skréślone
Wyblakły, kradnąc wiérszyka treść,
Niegdyś chłopięcia łzami skropione
Schłonęły miłéj przeszłości wieść;
Serce, za dawnym szczęściem stęsknione,
Nie może cichéj modlitwy wznieść.

Ach! nie pamiętam, co napisała,
Nie był to jednak pochwalny dym;
Słabiutko myśli powiérszowała,
Tu ówdzie chromał jéj żeński rym,
Lecz, że smętnemu sercu śpiéwała,
W zbiorze pamiątek chowam go swym.

POWSZEDNY SEN

Powszedne nieraz miéwam sny,
I dziś powszedny miałem:
Było nas dwoje, Ja i Ty,
A Ja to Ty kochałem.

Ja byłem tobą, ty zaś mną,
W dwóch ciałach jedno życie;
I mknęły dni, jak fale mkną,
W spadzistym rzek korycie.

Lecz nieproszony wkrótce gość
Bóg wié skąd się pojawił,
Dowcipu miał, zręczności dość,
Dni kilka z nami bawił.

Kiedy zatęsknił do swych stron
Prawicę mu ściskałem...
Poszliście razem, Ty i On:
Samotny pozostałem.

PAMIĘTAJ!

Żeśmy się niegdyś znaleźli społem,
Z rządzenia losu
I, że do ciebie sercem przylgnąłem
Pełnym patosu:
Pamiętaj!

Żeś mi jutrzenką była wschodzącą
Na życia niebie,
Gwiazdą przeznaczeń roskoszą lśniącą,
Żem kochał ciebie:
Pamiętaj!

Żem w twojich oczu widział blask tęczy,
Pełnéj uroku,
A w słowach słyszał piosnkę, co dźwięczy
Szmerem potoku:
Pamiętaj!

O pocałunkach, które ze drżeniem
Usta zmieniały,
Kiedy nas wieczór oplatał cieniem,
Gwiazdy błyszczały:
Pamiętaj!

Że zlatywały mary tęskniące
Nad nasze głowy,
Wreszcie o nagłéj, przykréj rozłące
W nocy styczniowéj:
Pamiętaj!

Ale o piérwszéj łzie, co trysnęła
Z twego powodu,
I o nadzieji, która pierzchnęła
Dla mnie za młodu:
Zapomnij!

BĘDĄCEJ DALEKO

Wszystko skończone między mną a tobą!
Pieszczoty, szepty, zachwyty uniesień!
Oj, uleciałaś z pięknych wspomnień dobą,
Jako jaskółka ulata na jesień.

Oj, pofrunęłaś, ptaszyno serdeczna,
Stawszy się dla mnie marą niepochwytną;
A jam już mniemał, żeś ty moja, wieczna...
Że kwiaty marzeń naszych nie przekwitną.

Lecz między ludźmi niéma stałych rzeczy,
Wszystko zagasa po czasu upływie...
Tedy, choć smętek serce me kaleczy,
Żeś pofrunęła wcale się nie dziwię.

Wszak nawet słońce, skoro świat omami,
Ku sinym morzom świetne czoło skłania,
Noc pomaleńku czarnemi płachtami
Ostatne blaski słoneczne zasłania.

Tylko, że taka zachodzi różnica
Pomiędzy tobą, a słońcem na niebie:
Słońce powróci, gdzie wschodu granica,
Tymczasem oczy me nie ujrzą ciebie.

HEJ HEJ MIŁY BOŻE!
MIKOŁAJA USTJANOWICZA

Hej, hej, miły Boże!
Gdzie te lata się podziały, młode lata nasze:
Gdy po wzgórzach i dolinie,
Gdzie rodzinna rzéka płynie
Krążyliśmy, jak sokoły, siwiopióre ptaszę!
Hej, młode lata nasze!

Hej, hej, miły Boże!
Gdzież są one dawne baśni, czarujące baśni:
Któreśmy prawili wzajem
Przy miesiącu, nad ruczajem,
Płynąc myślą między gwiazdy, nim się świt rozjaśni!
Hej, gadki, cudne baśni!

Hej, hej, miły Boże!
Gdzież jest chata nasza stara, chata dobra, cicha:
Gdzie wraz z tobą, serce moje,
Między trawy a powoje
Strząsać rosę z kwiatowego biegliśmy kielicha!
Hej, chato, chato cicha!

Hej, hej, miły Boże!
Gdzie przebrzmiałe dumy nasze, dumy od tęsknicy:
Wyśpiéwane w noc do woli
O téj smutnéj życia doli,
Sercu, co w miłości żyje, jak rybka w krynicy!
Hej, dumy od tęsknicy!

Hej, hej, miły Boże!
Gdzie się ono szczęście działo, szczęście nasze cudne:
Co jak słonko w młodéj wiośnie
Przyświécało nam radośnie,
Jak dészcz drobny na murawie, tęczy pasmo złudne!
Hej, szczęście, szczęście cudne!

Hej, hej, miły Boże!
Wszystko znikło, gołębiczko, jak między górami
Ginie głos w krzemiennym grobie!
Kiedy pamięć zaś po tobie
Przebrzmi w sercu i zamilknie między wspomnień mgłami?
Hej, jak głos między górami!

POKŁOŚNICTWO

Kochanko pełna smutku! jakże mi żal ciebie,
Że nosisz serce, niby rozbitą gitarę,
Z któréj strun odbrzmiéwają jeszcze pieśni stare,
Gdy tymczasem Orfeusz błądzi po erebie.

O, nie płacz jako płaczki na wschodnym pogrzebie,
I nie składaj smutkowi westchnień na ofiarę;
Raczéj wychyl odważnie rezygnacji czarę,
Jeźli możesz, zapomnij o serca efebie.

Niegdyś do miłéj piersi tulona pieściwie,
Myślami ulatując w spokojne niebiosy,
Na przyszłość niezbadaną patrząca lękliwie —

Podobnie pokłośnicy, z rozwianemi włosy,
Chodź po naszéj miłości opuszczonéj niwie,
Skrzętnie zbiérając wspomnień pozostałe kłosy.

PO LATACH

Jeźli się kiedyś w przyszłości spotkamy,
Niby rozbitki po strzaskaniu szkuty,
Kiedyś, gdy serca nasze, jak odłamy
Czarnych granitów mróz wyziębi luty.

Kiedy z gorących uczuć pełnéj gamy
Zostanie akord doświadczeń zatruty:
Wejdźmy w przeszłości rozwalone bramy,
Gdzie czyniliśmy młodości wyrzuty.

Wszelkie bluźnierstwa, co z ust naszych biły
Fontanną przekleństw na gorycz niejedną,
Uśmiéchać będą się do nas z mogiły.

Łzą zapłaczemy nad sobą prawdziwą,
Zazdrościć będziem wspomnieniom, co bledną,
Przeklęta młodość wyda się szczęśliwą.

WESTCHNIENIE

Wspomnij mię czasem, gdy oko twe padnie
Na jaki przedmiot mojego użytku,
Gdy myśli plątać zaczną się bezładnie,
Pustka w serdecznym zaświta przybytku.

O, westchnij do mnie, gdy w miękkie ramiona,
Żal mię ujmuje, tęsknota myśl mroczy,
Głucha samotność przytula do łona,
Rospacz nad głową grzmot łoskotny toczy.

O, westchnij do mnie westchnieniem niebianki,
Kiedy mię zwolna nadzieja opuszcza,
Kiedy z wątpieniem występuję w szranki
I kiedy wspomnień udręcza mię tłuszcza.

O, westchnij do mnie, gdy zdjęty chorobą,
Anioła śmierci smutny będę witał,
I kiedy głosem, natchnionym żałobą,
Będę o chwilę wschodu słońca pytał.

O, westchnij do mnie, gdy na ostre wióry
Głowę mi ludzie położą najęci,
Dzwon pogrzebowy potrąci o chmury,
A ja bez czucia będę i pamięci.

SIEDMNAŚCIE PEREŁ
NA NASZYJNIK DLA JEJ DUSZY

Zanim został rozbity nieba wzniosły namiot,
Zanim emaljowany wzrósł w przestrzeni pałac,
Słodko śniłem wśród wieków na nicestwa łożu,
Z cyfrą twojéj miłości, w sercu mym wybitą.

*

W on dzień, w którym miłości zacny ogień strzelił,
Kochanek z ust kochanki uczył się miłunku.
A ogień ten wzniósł głowę od kochanki strony:
Boć motyl, aby spłonąć, musi w płomień frunąć.

Ledwo woń twą skrzydlate przyniosły zefiry,
Pożegnało mię serce, pędząc w trop zapachu.
Dziś o dawnéj siedzibie nic już wiedzieć nie chce:
Wypijając woń twoję w ciebie się wessało,

*

Odkąd ciebie, tęczowy ujrzałem promieniu,
Poszły precz wszelkie trudy, posty i modlitwy.
Gdy cię tulę do piersi — zachwyt mym paciérzem,
A niémasz ciebie — paciérz całym mym zachwytem.

*

Droga twa, w jakimkolwiek bądź kierunku — piękna.
Łaska twa, jakikolwiek kształt przybierze — piękna.
Główka twa, jakiekolwiek oko pojrzy — piękna.
Chwała twa, jakikolwiek język sławi — piękna.

*

Gdy chcesz: z uścisków świata sercem się wyzwolę,
Zaniecham wszelkich prac i marzeń, gdy roskażesz.
Zażądasz, a ułożę głowę na płomieniach
I wstanę, by na roskaz twój wyzionąć ducha.

Róża wśród pól pachnących piękność z ciebie bierze,
W źwierciedle serca jasność ust twych się odbiła,
Zaś słońce pyłkiem jedno jest światłości onéj,
Którą płonie twarz twoja, gdy w okienku stajesz.

*

Chwałę śpiéwajmy Panu, wdzięczny hymn aniołom:
Do piekieł źli niech zstąpią, a do raju zacni.
Kniezie, władcy, monarchy niechaj ziemię dzielą,
Byle mnie serce lubéj, a jam jéj padł w dziale.

*

Lękając się rywalów i obmowy ludzkiéj,
Nie będę dłużéj kręcił się w ulicy twojéj.
Sznuruję usty, żwawo idę precz — a jednak
Nie mogę zrzec się myśli pożądania ciebie.

*

Przez ciebie wkradł się w piersi ból — nie pytaj więcéj!
I serce me ścisnęło się — nie pytaj więcéj!
Mimo jednak ciasnoty serca, miłość twoja
Potrafiła się wślizgnąć w nie — nie pytaj więcéj!

Nie! nasza pierś nie znała błogich serca tętnień!
Radość, wchodząc w ulicę naszą, wnet malała.
Wszelka roskosz, co ku nam twarz zwracając wdzięczną
Biegła, jeszcze nie doszła, a już smutkiem była.

*

Po ścieżce twéj miłości biegłem wartogłowo,
Niczego nie szukając, prócz miłosnéj troski;
A ty czarnoziem serca w kraj zmieniłaś cpok,
By na nim nie zakwitła żadna insza miłość.

*

O, gdyby wzrok twój znowu skąpał mię pieszczotą,
Tęskniący powróciłbym do ponownych błagań.
O, gdyby blask twych czarów mądrość mą oślepił,
Znów zboczyłbym z dróg prawdy na manowce widzeń.

*

Powróć, by moję tęskność zoczyć i serdeczność,
I onych nocy długich lękliwą bezsenność...
Lecz nie — o! — nie powracaj! bredzę! kiedyż bowiem
Mógłbym spłacić dług życia, patrząc w oczy twoje?

O trosko, co rozdarszy cierpliwości welon,
Zakradłaś się, wpatrzona w oczy me przyćmione:
Noc, ma pani daleko, żaden człek nie czuwa.
Zamorduj mię! zamorduj! jestem sam — sam jeden!

*

Serce moje minionym zawsze wierne ślubom,
Dusza pełna tęsknoty, wspomnieniami żyje;
Żadna chęć, żadna żądza serca mi nie dręczy,
Oprócz żalu po tobie, który w nim zamieszkał.

*

Gdybyś nie zamieszkała była w sercu mojim,
Zalałbym ono serce rwącéj krwi falami;
Gdybym w stęsknionych oczu spojrzeń twych nie dźwigał,
Płakałbym, jako rzéka, u wrót morskich głębi;
Gdyby dusza ma wiarę w miłość twą straciła, —
Tysięcznych sztuk podstępem wyrwałbym ją z ciała.

PAWIE PIÓRA

W tym pokoju, w którym młodzieńczykiem
Zamykałem swą miłość w sekrecie,
Wszystko ładem dawniejszym zastaję,
Gdy powracam z wędrówek po świecie,
Też obrazy, też sztychy na ścianie
Ślą mi niemo przyjazne witanie.

Za źwierciadłem — zatknięta wiązanka
Piór oczastych po dziś dzień przetrwała,
Tę wiązankę przed wielą lat bardzo
Złotowłosa dziewczyna mi dała,
Każde oko dziś z góry przemawia:
Byłeś niegdyś podobnym do pawia.

Iście miałem, jak w pańskim ogrodzie,
Paw zielony duszę okazałą,
Ale życie mi pióra bajeczne
Dla zabawki precz powyrywało,
Tak że dusza przepyszna i harda
Spowszedniała jak szara pularda.

Jednak czasem jest we mnie coś z pawia,
Przy słonecznych zachodach — na roli,
Gdy mię troski znienacka opadną,
Serce mocno w śródpiersiu zaboli —
Wówczas, jako pawie na parkanie,
Przeraźliwe w przestrzeń ślę wołanie.

WSPÓLNE WINY

Kiedym w smętnej życia doli
Ujrzał cię na swojéj drodze,
Mogłaś mieć mię po swéj woli,
Rospuściwszy marzeń wodze, —
Aleś mną wzgardziła srodze
Myśląc, że to nic nie boli,
A wszak wzgarda nieraz boli,
Bardzo boli!

Gdym w szczęśliwszéj życia doli
Stanął znowu na twéj drodze,
Chciałaś miéć mię po swéj woli,
Rospuściwszy marzeń wodze, —
Alem opór stawił srodze
Myśląc, żo to nic nie boli,
A wszak opór nieraz boli,
Bardzo boli!

Gdy w dni doli lub niedoli
Znowu zejdziem się na drodze,
Zrozumiemy się do woli,
Rospuściwszy zwierzeń wodze, —
Lecz czas wzgardzi nami srodze
Myśląc, że to nic nie boli,
A żal przecie zawsze boli,
Bardzo boli!

DOGRYWKA

Kiedym te pieśni przepisywał,
Stanęły za mną dni przeszłości
I spoglądały przez me ramię,
Na otwiérany grób miłości.

Taka mię przykrość zwolna zdjęła,
Taki żal rzewny w serce wpływał,
Że łzy pociekły mi jak dziecku...
Kiedym te pieśni przepisywał.

KSIĘGI TRZECIE

WIELKIEGO ONGI MIŁOSIERDZIA SIOSTRZE

M A R Y L I

ZSTĘPUJĄC DO OGRODÓW WSPOMNIENIA

JUBAL

Żegnam was, rodzinne bory,
Ojcze, matko, bądźcie zdrowi!
Chociaż syn niewdzięczny zemnie,
Nie złorzeczcie Jubalowi.

Rudę topi Tubal Kajin,
Adam orze w starych leciech,
Jabel żywot zaś pasterski
Wiedzie z trzodą kóz w namieciech.

A Noema, siostra miła,
Z konwią chadza nad krynice,
Wieczór spieszy zszywać skóry,
Pod złociste szczodrzenice.

Mnie sądzono z urodzenia
Znaleść ludziom rzecz nieznaną,
Która w sobie głos ukrywa,
Będąc rzeczą nienazwaną.

Tubal Kajin dał mi dziwo,
Które wykuł z żółtej rudy,
A moc jakaś przykazała
Głośne z nim wyprawiać cudy.

Z pieśnią rzewnie wypieszczoną
Iść, gdziekolwiek wiedzie ścieżka,
Balsam tonów kłaść na serca,
W których gorzki smutek mieszka.

I pocieszać tych, co płaczą
W ciemnéj życia zawierusze,
Szczépić miłość, ufność, wiarę
W kajinowych synów dusze.

Bądźcie zdrowi! przeznaczenia
Żaden człowiek nie przełamie,
Kto cel inszy wmawia w siebie
Ludziom kłamie, sobie kłamie.

Nie złorzeczcie! nazbyt dobrze
Wiém, jak wyście mnie kochali!
Bądźcie zdrowi! świat — otworem,
Nie utonę w tłumu fali.

Z stron dalekich, z obcych kresów
Będę wracał do was w pieśni,
Zanim znów się połączymy
Nierozłączni, bescieleśni.

ZŁOTY CIELEC

Żydowski lud wylękły, zły,
Zwątpienia szerzy wieści:
Mojżesz w synajskie wstąpił mgły,
Minęło dni czterdzieści...
Zapewne zmarł na szczytach gór,
Krogulcy trup rozniosły —
Pozostał Aron im i Hur,
Dwa wielkie ludu posły.

Więc przed Aronem staje lud,
Szemrając go wyzywa:
Aronie stary, uczyń cud,
Ludowi Boga zbywa!
Nie mamy przed czym czołem bić,
W sercach niepokój, trwoga...
Ty niepokoju przerwij nić,
Aronie, stwórz nam Boga!

Wódz, rzekszy im kilkoro słów,
Poskromił groźne krzyki:
Zdéjmcie przepaski złote z głów,
Manele i kolczyki,
Ze szyj łańcuchy! w jeden stóg
Ułóżcie mi klejnoty,
Z niego powstanie nowy Bóg,
Bóg świetny, szczérozłoty.

I Aron cielca ulał im...
Dziewczęta na ołtarze
Ofiary niosą, gęsty dym
Kapłańskie owiał twarze;
A gdy zoczyli ogniów blask,
Modlili się w pokorze:
Nie poskąp nam, tułaczom, łask
Wszechmocny, złoty Boże!

Lecz wtym, o nieba! z szczytu gór
Mojżesz się zwolna spuszcza,
Wynosi zakon z białych chmur,
Pobladła świętna tłuszcza...
Rozlega się piorunny huk,
Drżą dzieci i rodzice:
Bo runął w ogień nowy Bóg,
Strzaskany przez tablice.

Sam Mojżesz, płonąc gniewem stał,
Bezbożne klął sumienia,
Skruszony naród cicho łkał
I błagał przebaczenia.
Ejwerka jedna w ludu tłok
Na zgiełk i płacz pospiesza,
Proroczym blaskiem lśni jéj wzrok,
Przemawia do Mojżesza:

Daremnie rostrzaskałeś to,
Co lud zwątpiały sławił,
Na miazgę krusząc wielkie zło
Narodu tyś nie zbawił!
Tułaczych przygód wodzu nasz,
Grzmi klątwą nieb arkada,
Modłami groźną klątwę zmaż,
Jeźli podołasz — biada!

Nadejdzie czas, że cielec ten
Ożywi zgasłe zgliszcze,
Naruszy ludziom cichy sen,
Nieszczęsnych chwil bożyszcze.
Ogarnie świat kruszcowy kloc,
Pozyska serc miljardy,
Ludzkość uwierzy w bóstwa moc
I duch uwierzy hardy.

Nadejdzie czas, że złoty Bóg
Królewską dłoń rospostrze,
Że będzie miał miljony sług,
Że białéj stali ostrze
W ojcowską pierś zatopi syn
Na bóstwa podszept węży,
Że cichy weń uwierzy gmin,
Niewiasta wdzięk spiénięży.

Przeklęstwo nam! zabłyśnie dzień,
W którym jak kłoda runie
Prawdziwy Bóg, zakonu rdzeń
W zbutwiałéj legnie trunie...
I będzie nad nim szumiał chwast,
Zagłady i ciemności,
A złoto będzie Bogiem miast,
Narodów i ludzkości!

OSTATNY DZIEŃ ANAKREONA

Chłopczyku! winem z amfory
Koryncką napełnij czarę
Z wodą w połowie!
Bogom uczynię ofiarę
I cudnéj jesiennéj Chory
Wypiję zdrowie,
Bogdaj z dwuusznéj amfory!

Cytarę podaj Eola!
Samotna wisi na ścienie,
Kurzem pokryta...
Strun czułych roskoszne brzmienie
Z wonnością zleje się pola,
Kiedy zawita
Pieśń na cytarze Eola.

Panny ucieszne, co kwiaty
W warkocze wplatacie świeże,
W wesołym kole!
Podajcie wieniec w ofierze
Różą, leliją bogaty;
Na gędźcy czole
Zawżdy zawiesza się kwiaty.

Wieniec wypije żar z czoła;
Lecz w sercu ognia nie zgasi
Kwiecisty wieniec,
Szkarłatem się nie okrasi,
Miłości przyćmić nie zdoła,
Bom ja młodzieniec
Z serca, choć starzec już z czoła.

Zbliż się hetajro krasawa,
Otwórz ramiona pieszczoty!
Twego warkocza
Zapach sprowadzi sen złoty,
Roskoszna z tobą zabawa,
Panno urocza,
Hetajro moja krasawa!

Gdy starca młoda podwika
Ujmie w bieluchne ramiona,
Olśni, odurzy:
Starzec — lelija srébrzona,
Jakie się w sadach spotyka,
A kwiatem róży:
Młoda, roskoszna podwika.

Chcę poswawolić, Zeus świadkiem!
Wszak dosyć jestem wesoły,
Aby potańczyć!
Nim się rozsypię w popioły,
Na ziemi odrosnę bratkiem,
By rosę niańczyć, —
Chcę poswawolić, Zeus świadkiem!

A jeźli kłam moją mową,
Dusza wesela nie czuje,
Szczęścia oddźwięku —
Natychmiast niechaj się struję
Jagodą winogronową,
Którą mam w ręku,
Jeżeli kłam moją mową.

Hetajro! już po jagodzie...
Umiéram... karzą mię bogi
Śmiercią okrutną!
O, nie uciekaj wśród trwogi,
Serce żal głuchy mi bodzie...
Tęskno i smutno
Umiéram — jad był w jagodzie!

Szalony, jadu użyłem:
Czas już odpocząć bólowi,
Dosyć mi świata!
Sykulijskiemu królowi
Przy barbitonie nuciłem...
Gorzka zapłata
Była, kochankę straciłem.

Idźże, dziewczyno, do króla!
Więcéj odemnie ma złota,
Serca, czułości;
Ja gonię resztki żywota,
Ciemność mię dziwna otula,
Gwiazdo miłości!
Ginę, otruty od króla.

LEGIENDA BOROW

Aza Gopła ojczystego wełny
Dziwożonę ukazały brzegom,
Albo wodnych wyłoniły chłopców,
Dmących w konchy pieśni witeziowe,
Że przez knieje ćmawe i dąbrowy
Ciągną tłumy ludu nieustannie,
Nad jezioro, nad ojczyste Gopło?
— Nie, nie wodna panna w fali pląsa,
Oj, nie chłopcy w konchy dmą podwodni,
Jedno Piastun, bartnik w Kruświcy

Sprosił gościa, trzy księżyce temu,
Na pierwiastka swego postrzyżyny.
Więc Bolecha od siedmiu moczarów,
Co w bóżnicy ofiarom przywodzi,
Swentobora, co wiece zagaja,
Na ostrowiu zaś sieje i zbiéra;
Więc Wojmira w puszczaniu strzał mistrza,
Więc Masława z nad Drwęcy kwilącéj,
Pisanemi wsławionego dzbany;
Wyrwidęba téż i Waligórę,
Dwu najduższych z rodu Myszków chłopów,
Co z pomorskich walk wyszli zwycięsko,
Niemcom na łbach trzaskali oszczepy,
Szedł i Waczsław, młodzieniec by jutrznia,
I Władysław, przyjaciel Waczsława,
Boską pieśnią płonęły im piersi;
Moc dudarzów i gędźców i wieszczów
I władyków i kmieciów i ludu,
Wszyscy z bronią krzemienną za pasem,
Wszyscy w szaty przybrani odświętne.
A gdy słońce pęk grotów ognistych
Po za lasy rzuciło dalekie,
Wszyscy w kupie stanęli nad Gopłem,
Do piastowéj podchodząc siedziby.
Wielkie Gopło witało ich szumem,
Uderzając o fale falami,
A na przyźbie stał Piastun gościnny

I do ziemi się kłaniał przybyłym
I do stołu krytego obrusem
Bielusieńkim prowadził władyków,
Łamiąc placek z wszyskiemi owsiany,
Na dębowe sadzając ich ławy.
Ci zaś jedli i w stronę pokucia
Kęs rzucali ku niemym posążkom,
Ku Piastuna odeszłym pradziadom,
Cześć należną oddając obrazom.
A tymczasem miesiączek wypłynął
Jasną pełnią wysrebrzył jezioro
I żeglował wskroś lotnych obłoków...
Wyszedł z chaty Piast i władykowie,
Kmieci, gędźcy, wieszcze i dudarze,
Wyszli wszyscy z młodym Ziemowidem,
Ziemowidem, synem piastunowym,
Do ołtarza podle uroczyska,
Stary obrzęd sprawować postrzyżyn.
Stał ofiarnik z kamieni ciosanych
Ponad wodą, pod dębów osłoną,
W paprociane gałąski majony.
Na nich Bolech od siedmiu moczarów
Miłą bogom jął czynić objatę
Z jednorocznéj łaciastéj jałówki,
Łuczywami od ofiar pobożnych
Podpalając drewka nastrożone.
A gdy ogień wystrzelił ze stosu

Z gęstym dymem rospoczął walczenie,
Nim szeroko oświetlił krajinę —
Tak się modlił on kapłan wiekowy
Do ojczystych bogów, do przedwiecznych:
Wy bogowie po borach osiedli,
Z stujęzycznym pobratani echem,
Co jeleni wiedziecie do zdrojów,
Aby sny w nich topiły północne;
Wy, na których roskazy przemożne
Leśne ptactwo do snu się układa,
A dąb święty, szeleszcząc listowiem,
Waszej woli jest godnym tłómaczem,
Nieśmiertelni! wychylcie się z knieji
I na ołtarz spojrzyjcie płonący,
Jaką miłą ofiarę wam składa
Syn bartnika, młodziutki Ziemowid.
Dajcie ucho pokornym proszeniom,
Dajcie w zamian krztę szczęścia chłopięciu,
Niechaj rośćie szczęśliwie i zdrowo
Ku ziemicy i ojców swych chlubie!
Tak rzekł Bolech, a słowa modlebne
Popłynęły ku lasom i kniejom,
Popłynęły i głuche milczenie
Było w rzeszy stojącéj nad wodą.
Jedno drzewo, objęte płomieniem,
Kurcząc korę, trzaskało od czasu,
Jedno iskra wzleciała cichaczem

I, wzlatując, zgasała w powietrzu.
A gdy słowa przebrzmiały Bolecha,
Świętoumne podeszły dziewice,
Złote włosy chłopięciu ucięły,
Złote włosy na ogień rzuciły,
A rzucając, tak zgodnie śpiéwały:
Dwa siedm latek pieściła cię matka,
Dwa siedm roków nie tknęła twych włosów,
Dwa siedm zimek zczerniało na polach,
Dwa siedm dziewic ucięło te włosy,
Świat się cieszy że męża pozyskał,
Maciérz płacze, że dziecko straciła.
Gdy to białe wyrzekły dziewice,
Wielki lament podniosły niewiasty
I płakały, zawodząc okrutnie.
Teraz umny wystąpił Swentobór,
Rej wiodący na wolnych obradach,
W te ulotne odezwał się słowa:
Synu Piasta, miłego samsiada,
Już ci klechdy nie słuchać dziecięcéj,
I nie igrać z chłopcami dzień cały;
Ale sobić się na walecznika,
Ale chadzać z oszczepem do lasa,
Z niedźwiedziami przyuczać się walki,
Ale strzałą ci mierzyć w obłoki,
Do jastrzębia roskołysanego,
Aby, skoro nastanie potrzeba,

Iść z mężami rostropnie wojować.
Ciężkie bowiem nastały terminy:
Knieź nie knieziem lecz sprośnym ożralcem,
Co z przyjaciół pochlebną drużyną
W gnieździe siedzi przy jedle i piciu
I nie baczy na sprawy ziemicy,
I nie słucha wiecowéj uchwały.
To gdy wyrzekł Swentobór z ostrowia,
Wszystkich serca zabiły gwałtownie
I nie było takowego męża,
Jenby klątwy nie słał Pepełkowi,
Pepełkowi knieziowi na Gnieździe.
Wszyscy wrzali. Tymczasem wystąpił
Wojmir, łucznik, i chłopcu dał kuszę,
A Wyrwidąb, za nim Waligóra
Obaj bracia, Własłowicze obaj,
Po oszczepie i ostréj siékierce
W młodociane włożyli rączyny.
A zaś Piastun przystąpił do syna
I na głowie kładąc jemu ręce,
Tak zakończył modlitwy obrzędne:
Bogi świadkiem, jak dziecko miłuję,
Pragnę szczęścia dla swego pierwiastka!
O wy didy milczący i czury,
Duchy przodków! powstańcie z cmentarzów,
Waszą chwałę zlejcie na prawnuka,
Mądrą radą wspiérając go w biédzie,

Teraz gędźcy na wieszcze waryta
Położyli palce i zagrali,
A zagrali, aż się płakać chciało;
Sławiąc bogów, wiekujących w kniejach,
Niezbadane chwaląc ich wyroki.
Jeszcze grali, kiedy na dwie stronie
Tłum rozstąpił się i szedł do domu
Piast ze synem, a za niemi zaraz
Stary Bolech od moczarów siedmiu
I Swentobór, co zagaja wiece;
Zatym Wojmir, łucznik niezrównany,
Brat Wyrwidąb z bratem Waligórą,
Dwa najdłuższe z rodu Myszków chłopy;
Zatym Waczsław, młodzieniec by jutrznia,
I Władysław, przyjaciel Waczsława,
Moc dudarzów i gędźcow i wieszczów
I władyków i kmieciów i ludu,
Jedni wieszcze trącając waryta,
Drudzy pieśniom przesławnym wtórując.
A za niemi daleko pod borem
Dogorywał samotny ofiarnik.

ESTERKA

Święto w pośród Ejwerczyków:
Pascha — słońce blask rozlewa,
Między ludem zgromadzonym
Czarodziejska pląsa dziewa.

Oko czarne, włosy czarne,
Na nich złoty pasek błyska,
Smętna, dziwna, fantastyczna,
Niby wschodnych nieb huryska.

Kółko chłopców się zaleca,
Ten ów prosi do wesela,
Lecz Estera nie dla chłopców,
Uczuć z niemi nie podziela.

Bowiem wschodnym kwiatom równa,
Tylko słońcu, rosie rada;
Na zaloty, oświadczyny
Cichym szeptem odpowiada:

Raz cyganka mi wróżyła,
Że Esterka życie prześni,
Żem stworzona z róż, jaśminów
Że po wiekach błysnę w pieśni.

I mówiła: życie twoje
Pełne ciszy dni łabędzie;
Gwiazdo szczęścia! ciebie z ziemian
Jeden tylko król posiędzie.

Oblubieńcem twojim będzie
Król, drużbami zasie świerki...
Trzy dni miną, tyleż nocy
I nie ujrzy nikt Esterki.

Zgaśniesz, jak mydlana bańka,
Zgaśniesz nakształt letnéj tęczy,
W gaju świerków nadwiślańskich
Słowik piosnkę ci zadźwięczy.

Król to słyszał; posłał paziów,
Wóz kosztowny, darów siła,
Dziéwka poszła, bez oporu:
Wszak cyganka to wróżyła.

W pysznym gmachu, śród źwierciadeł,
Podle króla jegomości,
Przeżyć miała okres krótki,
W bezprzytomnym śnie miłości.

Z wielkich okien ją dochodził
Pobliskiego śpiéw jeziórka;
Posmutniała, nakształt ptaszka,
Gdy utraci barwne piórka.

Nad polami noc kwietniowa,
Woń pachnącej Wielkanocy —
Dziewa zgasła gwiazd gaśnięciem:
Trzy dni przeszły i trzy nocy.

PIEŚŃ O KRYSTYNIE SZYKOWSKIM

Poważnie płynie niebieski San,
Kipi i burczy głęboki nurt,
A poza Sanem tatarski Chan
Bije do miasta Przemyśla furt;
Bije i sztuka, z pogańska klnie,
Pożarem grozi, przelewem krwi;
Mijają nocy, mijają dni,
Z baszt miejskich jedno huk rusznic grzmi.

Mury — jak skały; dziewięć tu wież
Stérczy na murach, by dziewięć gór:
Spojrzy Chan wkoło, popatrzy wszerz,
Chce taranami wyłamać mur,
Lecz śmigownice sypnęły z baszt
Gradem żelaza — daremny bój!
Cofa się pawi pogromca miast
I w polu obóz zakłada swój.

A niezliczony tatarski huf:
Jakąż barwnością odzieży gra!
Ile tu szabel krzywych, co głów,
W jasyrze ludu wiejskiego ćma!
Miljon żołniérzów wzjętych na żołd
Ze wszystkich Krymu wielkiego miast,
Tylu dowódcom oddaje hołd
Ile na niebie jesiennych gwiazd.

W Przemyślu trwoga; w on bowiem rok
Czerwieńskich grodów nie bronił mąż;
Rycerstwo w wojen wplecione tok
Przy boku króla walczyło wciąż.
W mieście zostawał jedynie cech,
A białegłowy, a dzieci ich
I trocha starców i trocha klech,
W tych czasach wojen smutnych a złych.

W Przemyślu trwoga; na rynku stek
Obrad, na karku potężny wróg:
Jest w mieście jeden jedyny człek
Świadomy groźnéj Bellony sztuk,
Mnich reformacki; z dalekich stron
Przybył, rycerski porzucił stan,
W klasztorze włos mu pobielił szron:
Ojcem Krystynem powszechnie zwan.

Więc rajcy miasta, powstawszy z ław,
Do klasztorowych podchodzą wrót:
Ojcze gwardyanie! ty miasto zbaw,
Ocal przed rzezią niewinny lud;
Zaoszczędź słabym niewiastom łez,
Przed hańbą starców ochraniaj włos!
Jutro — zapóźno! tatarski pies
Przemyśl zamieni w płomieniów stos!

Jutro — zapóźno, jutro — to śmierć!
Dzisiaj się z nami do dzieła bierz;
Jutro nam dziatki posieką w ćwierć,
A trupy starców z wysokich wież
Spoglądać będą na rzeź i mord,
A naszym żonom i córkom — srom!
Mnichu, chodź z nami! oto jest kord,
Prowadź do walki w ogień i grom.

Długo się skromny wymawia mnich:
Dzisiaj hetmanić nie jego rzecz!
On będzie bronił braciszków swych,
Niechaj świeckiemu powierzą miecz;
Lecz blask mu dziwny wystrzela z ócz...
O! w więźniu chyba serce tak drży,
Gdy mu więzienny podają klucz,
Mówiąc: uciekaj, na dworze mgły!

Noc kołem cicha; za miastem szmer,
Zdążają mieszcze przez grzbiety wzgórz,
Dążą i cechy, dąży i kler,
Ów ma arkabuz, ów prosty nóż;
Na czole wszystkich rycerski mnich,
Z mieczem w prawicy, zakuty w stal;
Cisza na ziemi i w chmurach mdłych,
Jedynie słychać plusk rzecznych fal.

Tatarski obóz głęboko spał,
I na widetach posnęła straż:
Wojacy przeszli przez niski wał,
Stanęli: bracia, oto kres nasz!
Noc była chmurna, ciemna, bez gwiazd,
Miesiąc świetlany porzucił szlak...
O! jakże rżnęli pogański chwast,
Baranie kuczmy siekli by mak,

Tatarzy biegną; tak może dzik
W dębowym lesie w zasadce drży;
Zdobyty jasyr podnosi krzyk,
Po kostki brodzi w rozlanej krwi;
Horda ucieka, przez pola mknie,
Tłumem ją pędzą w szumiący San,
Wielu zabito; w głębokim śnie
W ręce zwycięzców dostał się Chan.

W ponurej wieży więziony Chan
Brodę z rospaczy szalonej rwie:
Gdzie wasz dowódca? gdzie jest wasz pan?
Pokażcie, jakże żmija się zwie?
— Tu się do kraty, papugo, zbliż!
Widzisz go? wchodzi do miejskich bram:
Bosy, w habicie, w ręce ma krzyż.
On taki taniec sporządził wam.

Aj kielb ben kielb! aj cóż to za wódz!
Biédny, bez ciżem, cichy — by grób...
Ha, gdybym wiedział był! mogłem zmóc!
Bosaka widziéć u chańskich stóp!
Ha, gdybym przeczuł! Ałłachu, śnisz?
Echo cię gorzkich nie krzywdzi skarg?
Toć mogłem wszystkich zakutych w śpiż
W Krymie wystawić wiernym na targ!

Nie kruków czarne zlatywało stado,
Na kupę trupich kości i czerepów,
Za rzéką Wołgą obozem się kładą
Opryszki, pośród mgłą okrytych stepów,
I złota łuna nad rzeką połyska,
Z rozłożonego strzelając ogniska.

Banda, przy ogniu ręce grzejąc, gwarzy.
Ileż w niéj strojów oko napotyka,
Ileż tu plemion i przeróżnych twarzy,
Pomieszanego stanu i języka!
Z klasztornych celi, z chat, z więziennych wieży
Wszystko dla niecnéj zbiegło się grabieży.

Umysły wszystkich jedna myśl obleka;
Bez pana żyją, prawo się nie przyda...
Spotkasz z nad Donu kozackiego zbiega,
Ryżego Fina, pejsatego Żyda,
Jest tu i Kałmuk i Kirgiz z auła,
Baszkir i Cygan, co się w świecie tuła.

Niebezpieczeństwo, krew, żywot rozwięzły,
Kłamstwo, oszustwo, przewrotność zbrodnicza, —
Oto téj strasznéj społeczności węzły;
Ten się do prawych synów jej zalicza,
W którego sercu nie dźwięczy sumienie,

Kto przebył zbrodni najmniejsze odcienie.
Kto bez namysłu i bez drżenia ręki
Morduje wdowę i siérotę biédną,
Ci, którym śmiészne niemowlęce jęki,
Po dokonanym morderstwie nie bledną,
Ale przeciwnie śmieją się i cieszą,
Jak chłopcy, którzy do kochanek spieszą.

Dokoła cicho; księżycowa tarcza
Błyszczy i orszak gwiazd za sobą wiedzie,
Ponurym światłem widnokrąg obarcza,
A kubek wódki przy zbójców biesiedzie
Z ręki do ręki przechodzi koleją,
Ledwo wypróżnią — znów miarkę naleją.

Insi, obrawszy na noc chłodną ziemię
Śpią pod opieką złowieszczego ducha;
A kto śród ciszy ponuréj nie drzémie,
Baśń opowiada, lub powieści słucha;
Wszyscy umilkli — dookoła cisza:
Bawi ich powieść nowego przybysza:

Było nas tylko dwóch braci — siéroty...
Wychowaliśmy się pod strzechą cudzą;
Od upokorzeń, smutku i tęsknoty
Wcześnie się serca wpół uśpione budzą,
A upokorzeń tych mieliśmy zadość,
W dzieciństwie żadna nie błysnęła radość.

Wcześnie potrzeby jędza nas chłostała,
Wiedliśmy życie ciężkie, życie twarde,
I nienawiści męka w nas kipiała,
Rzuconych losem na gorzką pogardę,
Bo nie mieliśmy chatki ani pola;
Nie do zazdrości była chłopców dola.

Żyliśmy w nędzy strasznej, śród kłopotów,
Nie posłyszawszy przyjaznego głosu;
Na wszystko wreszcie siérota był gotów:
Nóż miał nas powieść do lepszego losu:
Poszliśmy w bory między nocy cieni
Nie znając, co zgryzoty — wyzwoleni.

Ach młodość, młodość! teraz nam nie wydrą
Szczęścia, swobody! zdala nienawiści,
Z niebezpieczeństwa pasując się hydrą,
Wiecznie śród szumu lasów, szmeru liści,
Wiecznie się żywiąc wonią lasu świeżą,
Zgodnie dzielimy się z bratem grabieżą.

Nieraz, bywało, ledwo miesiąc skory
Błyśnie i światło nad nami rospostrze —
Cichaczem z ciemnéj wychodzimy nory
W las, a bułatów naszych chłodne ostrze
Sprząta każdego maruderę z drogi
Czy to piéniężny Żyd, czy ksiądz ubogi.

Zimą zaprzęga się trójkę do sani,
Śmigamy z pieśnią po sniegowéj głębi,
Pośród zadymki, wiatrów — jak szatani,
Z pod końskich kopyt śniég się chmurą kłębi,
A wiatr zakręca wiry nim od środka...
I biada temu, kto się z nami potka!

W dali... w oberży mdłe światełko miga,
Radość, uciecha! zawińmy pod bramy!
Sanie na miejscu skręcają, jak fryga:
Sztuk, puk, karczmarce hojnie wymyślamy,
Wpadamy, biegniem od kąta do kąta:
Dziéwczęta pieści się — flaszki uprząta!

I cóż? swoboda jedno się prześliźnie
I już jej niéma! z uczt naszych i bali
Wspomnienie tylko zostało w spuściźnie;
Raz na wycieczce nocnéj nas pojmali,
Kowal do nogi brata moję przykuł
I aresztancki powiózł nas wehikuł

W cuchnące murów więziennych sklepienia.
Nie przygnębiła mię murów żałoba,
Gdyż byłem starszy, trwalszy na cierpienia...
Lecz mego brata zwaliła choroba,
Śród tej wilgoci, co ze ściany ścieka,
I płaszczem rosy sklepienia obleka.

Biédny rospacza, za swobodą wzdycha,
Na mojich ręku ginie — bez nadzieji,
Nawpół przytomność tracąc, szepce z cicha:
Puść mię... do lasów... do borów... do knieji...
Tu duszno, straszno... wody! żar mię smaga!
Podaję — ale napój nie pomaga.

Czoło potami oblane nie stygnie;
Gorączka myśli trawi go okrutna,
I w téj męczeńskiéj, ogniowéj malignie
Mnie nie poznaje, ale co minuta
Z cierpiących piersi nowy jęk wystrzela:
Zwie towarzysza swego, przyjaciela...

I woła: bracie, gdzieżeś skrył się powiedz!
Gdzie ciebie szukać, w cieniu jakich kuszczy?
Ha, brat mię zdradził! w więzienny grobowiec
Rzucił, sam uciekł do lasów — do puszczy...
Wesoły, śmiały rżnie, pali, zabija,
Nad nim nie pastwi się ręka niczyja.

Brat zdradził brata, w świat poleciał szerszy!
A czyż nie on mnie zwabił w las drzémiący,
Dał nóż do ręki i nauczył piérwszy
Mordu — potężny, straszny, wszechmogący
Jak grom i piekło? ha, teraz bezemnie
Przebiega lasów przestrzeni tajemnie.

Teraz swobodny nie zna, co to smutki,
Ostrym bułatem włada jego ręka,
Przechodniom kiścień posyłając rzutki
Czarnéj rospaczy widmo go nie nęka;
W szerokim polu i leśnym zaciszu
Zapomniał dzisiaj o swym towarzyszu!

Milczał; znów insze widma go ścigały,
Przeklęte mary, wyrzuty sumienia;
Snując się zdala pięśćmi wygrażały.
Chory, majacząc, najczęściej wymienia
Starca, co w leśne zwabiony bezdroża
Zginął przed laty od naszego noża.

Ach! wtedy oczy zasłaniał rękoma,
Za wątłym starcem błagał temi słowy:
Bracie, ulituj się nad nami dwoma,
Nie rżnij siwizną pobielonéj głowy,
Ta głowa starca niedołężna, biédna...
On nam u Boga przymierze wyjedna!

Nie dręcz go bracie, nie rżnij, nie szydź z dziada!
Ten jęk mi w sercu krwawe rany wierci,
Kamieniem przekleństw na piersi upada...
Puść go! i cóż ci przyjdzie z jego śmierci?
Zabijać starca — czyn nikczemny, podły!
Słuchaj on za nas będzie wznosił modły.

On odpuszczenie grzéchów nam wybłaga,
Zmiękczy gniéw Boga surowy i wielki!
Ha, bracie zbóju! ta pierś starca naga
Bez życia, zwiędła, nie ma krwi kropelki,
Twarz jego w barwie wypłowiałych liści!
Puść go! on z klątwy nieba nas oczyści.

Słucham; zaledwo uszom wierzyć mogę,
Piorunem każde słowo mię poraża,
Próżno ukojić chcę braterską trwogę...
Już się zabitych upiory z cmentarza
Tłoczą, więzienne napełniając mury,
Zadając nowe, męczeńskie tortury.

Chory szkieletów widzi taniec dziki
Powstałych z grobu trupów tan przeklęty!
Przerażające kościotrupów krzyki
Słyszy, to znowu pogoni tętenty
I wzrok mu błyszczał, jak iskra na wietrze,
Lico stawało się coraz to bledsze.

Włos mu się jeżył, drżał na całem ciele,
Jak liść; po chwili nowe miał widzenie:
Widzi więzienny plac, a na nim wiele
Ludzi i groźny pochód na stracenie,
Kata o rysach surowych i cieśli,
Co rusztowanie szubieniczne wznieśli.

Wtedy bez zmysłów, w przestrachu i trwodze
Brat mi na piersi upadał w niemocy,
Już cierpień jego słowem nie łagodzę,
I ani jednéj nie zasypiam nocy
Bo, czując boleść braterską głęboko
Miałem bezsilną myśl, bezsenne oko.

Ale choroby dziarska młodość leczy!
Brat mój do zdrowia przychodzi widomie
I już po nocach nie mówi od rzeczy,
Zgasło sumienia draśniętego płomię,
Ocaleliśmy; lecz od owéj chwili
Za światem myśmy goręcéj tęsknili.

Ach, do wolności, na łono natury,
W pole rwaliśmy się, w bór rozsochaty!
Strasznemi były: mrok celi ponury,
Światło przyćmione, płynące wskroś kraty,
Kajdany, kłódki, strażnicze pałasze
I po za oknem świergotanie ptasze.

I raz w kajdanach zbiérając na mieście
Na rzecz więzienia miejskiego jałmużnę:
Postanawiamy skrycie, by nareście
Uciec; życzenie to nie było próżne.
Staliśmy prawie tuż u rzecznéj burty,
Więc rzuciliśmy się duchem w fal nurty.

I po wzburzonéj płynęliśmy fali
Brzęcząc łańcuchem, co nam pętał nogi,
Prujemy falę i widzim w oddali
Wysepkę, do niéj płyniemy wśród trwogi,
Bo nad brzegami ruch i krzyczą straże:
Łapaj! gotowi uciec kajdaniarze!

Dwóch nas żołniérzów ściga w oka mgnieniu, —
Myśmy na wyspę wyskoczyli z fali,
Łańcuch na twardym rozbili krzemieniu,
Przesiąkłe wodą odzienie zdziérali...
Ufni w zwycięstwo na piaskowéj ławie,
Wysłaną pogoń śledzimy ciekawie.

Ci ze śmiałością płyną besprzykładną;
Jeden już wodę chłepcze, walcząc z tonią,
I, jakby ciężki ołów poszedł na dno...
Drugi, z stérczącą ponad wodą bronią
Gwałtem się do nas na wysepkę garnie
Gotów, jak piérwszy żołniérz, zginąć marnie.

Wołamy: wróć się! lecz on głuchy, niemy,
Na nasze krzyki nic nie odpowiada;
Aż mu kamienie dwa z świstem poślemy —
Ze łba trysnęła krwi wrzącéj kaskada...
Śmiałek utonął. A my w podróż daléj;
Wysyłać nową pogoń już się bali.

Na stałym lądzie myśmy wnet stanęli,
Uciekli w lasy, ale brat mój miły!...
Ten po niewczasach i zimnéj kąpieli
Znów przywrócone począł tracić siły,
Ponownie duch go omotał choroby,
Wróciły dawne sny i dawne złoby.

Trzy dni nie mówił na méj piersi wsparty,
Ani mu oko sennością się kleji...
Smutno odezwał się do mnie na czwarty,
Gasnący wzrok mi przesłał — bez nadzieji,
I, gdym przed sobą miał zwycięscę — mękę,
Patrzył się we mnie i uścisnął rękę;

Westchnął i zadrżał... wzrok mu stanął słupem
I zgasł, jak gwiazda spalona północy.
A nad tym bladym zesztywniałym trupem
Trzy przebolesne przesiedziałem nocy,
Nie dając wiary, by utracił życie
I łzy mi z oczu tryskały obficie.

Wreszcie motykę wziąłem i, nad ciałem
Brata modlitwę odmówiwszy grzeszną,
Chłodnéj go ziemi na wieki oddałem;
A sam do lasu biegłem, bo mi śpieszno
Było nasycić krwią kindżał stalowy
Dni dawnych życie powitać i łowy...

Lecz wszystko czas rosprószył bespowrotny,
Wszystko mogiła pochłonęła bratna!
Dzisiaj się włóczę ponury, samotny,
Z piersi wylata mi iskra ostatna,
Usty już nie brzmią pełnym szału śmiechem
I przebrzmiałego szczęścia żyję echem.

I duch mój popadł w bezwładności nędzę,
W sercu umarła i żałość i skarga;
Ale niekiedy stare zmarszczki szczędzę;
Na siwą głowę dzisiaj się nie targa
Z szyderczym śmiéchem podniesiona ręka,
Umysł się mordu podobnego lęka.

O! bo pamiętam, jak w przeklętéj wieży
Brat mój nieszczęsny w kajdany zakuty,
Bolesne skargi w głuche nocy szerzy,
Ze łzami w oczu, z dzikiemi wyrzuty
Bliski szaleństwa błaga mię i skarca,
Bym nie mordował zgrzybiałego starca...

Opryszek zamilkł i głowę zuchwałą
Zwiesił, z goryczą patrząc w dal szeroką...
Głuche westchnienie z piersi uleciało
I załzawiło się zbójeckie oko;
Płakał... mógł płakać! lecz z bólem obyci
Szyderczo śmiejąc się, rzekli bandyci:

Ty płaczesz? przestań, porzuć łzy i smutki!
Po co wspominasz tych, co leżą w grobie?
Sąsiedzie, naléj sąsiadowi wódki!
Śmierć nas nie woła! pohulamy sobie!
Z ręki do ręki poszła znowu czarka;
Przy dzikiéj uczcie noc ubiega szparka.

Bawią się, piją — szalona biesiada!
Ochrypłe gardła wybuchają śmiechem,
Ów chwali kiścień własny, ów sąsiada,
A step odbrzmiéwa dzikich krzyków echem...
Banda się bawi! w sercach — śpią sumienia.
Ockną się może w chwili przeznaczenia.

BEN JEHUDA

Żył śród Mojżesza ludu
Jehuda, rabin stary;
Z babelskiego talmudu
Ogłaszał dogmat wiary.

Był sędzią ponad sędzie,
Wszystkie znały go rody,
Zwaśnionych w każdym względzie
Połączał węzłem zgody.

Wieść niosła, że mądrości
Wschodnéj znając zagadki,
Umiał w księgach przyszłości
Ważne czytać wypadki.

Więc sława Bna Jehudy
Jak głos po rosie brzmiała,
I o ościenne ludy
Niekiedy zawadzała.

Miał rabin ów życzenie,
Aby go w chwili zgonu
Własne zadowolenie
Do Boga wiodło tronu.

Raz w święto Roszchaszany,
Gdy noc nastała głucha,
W święte księgi wczytany
Mądrością krzepił ducha.

Już piérwsze piały kury,
Gdy sen go zdjął ułudny,
Różane ujrzał chmury,
A na nich widok cudny.

Z harfami trzéj anieli,
O czołach sympatycznych,
Śpiéwając pieśń płynęli,
W obłokach fantastycznych.

Hymn, co się z harf wyléwał
Majestatyczną strugą,
Ucho starca zdumiéwał,
Brzmiał pełnym tonem długo.

Już myślał rabin śpiący,
Ze w upojeniu skona...
Anioł promieniejący
Ujmuje go w ramiona.

Poczuł, że się dotyka
Białych kształtów rękomi,
Że pochwycony znika,
Z widmami płynie dwoma.

Śnił prawdę Ben Jehuda,
Talmudnik niezrównany,
Nie była to uluda
Północnéj Roszchaszany:

Gdyż rankiem ogłoszono
Ze smutkiem, że Jehuda
Zamarł z głową schyloną,
Nad kartami talmuda.

FLISAK

Noc cudna — noc świętojańska!
Tratwami z belek spojonych
Rotmani płyną do Gdańska,
Po Wisły nurtach wzburzonych.

Noc cudna: gwiazdy migocą,
Ogni płonącéj sobótki
Jasną unoszą się nocą
W niebiosów przestwór cichutki...

Srébrną powiéwa dym przędzą,
W pląs idą chłopcy i dziéwki,
Wieśniacze skrzypce im gędzą,
Tanecznic wtórują śpiéwki.

A w lesie paproć roskwita,
Boruta nad nią strażniczy,
Wiśle za mało koryta,
Czernieje, burzy się, ryczy.

Nad rzeką stoji flis młody,
Przed nim kołysa się tratwa,
Wezbrane godzą w nią wody,
Fala z falami się gmatwa.

Hoża dziewczyna przy flisie...
Żegna go łeską tęczową,
A noc w gwiazdzistym kirysie
Przepływa ponad ich głową.

Flisacze! noc masz tak jasną,
Podróż do morza tak łatwa,
Nim senne gwiazdy pogasną,
Daleko odpłynie tratwa!

Do wiosła, zbiéraj się w drogę,
Kochankę żegnaj, gdyś gotów,
Uspokój próżną jéj trwogę,
Serduszko pełne kłopotów.

Do Gdańska! ojciec twój — stary,
W chacie zalega podatek,
Cieślom na srébrne talary
Jodlany wymienisz statek.

Tutaj nikt ręki nie poda,
Biédaka nie dźwignie z nędzy;
Ojców maleńka zagroda
Przepadnie — szukaj piéniędzy!

Pożegnał flisak dziewczynę,
W dłoń silną ujmuje wiosło,
Odpycha się na głębinę, —
Urocze szyprów rzemiosło!

Piękne na Wiśle są nocy,
Gdy tratwy długim szeregiem
Przy jasnych gwiazdach północy,
Z rzéki spławiają się biegiem.

Kiedy płynący oryle
Ogni na traftach rozniecą,
Bezsenne skracając chwile
Z pieśnią po grzbiecie fal lecą!

Flis płynie; nocy czas krótki,
Piosnki rozwiały się w echu,
Kołem pogasły sobótki
Przy dziéwcząt wesołym śmiechu.

Odpłynął; wszakże nad rzeką
Wzrokiem go ściga dziewczyna,
Aż zniknął w zmroku daleko...
Gdzie rzéka wstęgę zagina.

Na pola cisza zapadła,
Wre, kipi, pieni się Wisła,
A tratwa puszcza wiązadła,
Rospacz przed flisem zabłysła.

Do szczęścia — pocóż się zrywać,
Gdy los podcina wciąż skrzydła?
W nadzieję pocóż opływać,
Gdy ona szczytem mamidła?

Żywioł — czyż szypra ocali?
Tratwa o brzegi uderza:
Flisak utonął; nurt fali
Wyrzucił go na wybrzeża.

A płatwa sama, bez steru,
Żałobna śmiga do Gdańska...
I błyszczą gwiazdy z eteru:
Noc cudna, noc świętojańska!

POGRZEB W LESIE JAROSŁAWA WYRCHLICKIEGO

Zahuczały stare sosny
Na skalistéj, dzikiéj górze,
U zdrojowisk tajemniczy
Dreszcz pochylił leśne róże.

Wykopali Cyganowi
Grób, wsunięty w głazów rzędy,
Wzwyż na śliskich skał krawędzi,
Głóg wysyła wiotkie pędy.

A nad rowem jakiś Cygan
Dziwne słowa szepce scicha,
Że jest pełną gorzkiéj klątwy
Ich tułaczki dola licha.

A ta dziéwka czarnobrewa
Rzuca w trumnę róży kwiecię:
Śpij mój stary, odpoczywaj,
Natuławszy się po świecie!

Zaś najstarszy wdzięczną skrzypcę
Przy cygańskiéj piersi mieści:
Ten nam, bracia, za żywota
Wojewodził lat trzydzieści.

Jego wzrok — to orzeł w locie,
Zapatrzony w dno przepaści,
Jego pieśni — woni lasów,
Pełne snów o staréj właści.

Jego myśl — kamienna skała,
Zwiędłe serce -- złota lira;
Dziś pogrzebcie go, zaś jutro
Zapomnijcie prowodyra!

Zakopali, zasypali...
Tylko sosny nad nim łkały,
Gdy Cyganów krok lękliwy
Płynął w szmerze ech przez skały.

*

W lesie śmiéch, dziéwczęce psoty,
Krzyk a pląs, a piosnek dźwięki, —
Któż bo wié, że Cygan leży
Pod kamiéniem u studzienki?...

SKARB UKRYTY

Księżycowa noc zwiesiła
Gwiazdeczkami tkane płótno;
Nad krajiną w snach drzémiącą
Było cicho, głucho, smutno.

Tylko wiatrem kołysane
Bozmawiały z sobą puszcze,
Tylko rcsa otrząsana
Upadała między bluszcze.

Po piasczystéj, żółtéj drodze
Dwaj rycerze uzbrojeni
Przejeżdżali wolną stępią
Śród milczących dąbrów cieni.

Obaj mieli przy kulbace
Jakieś ciężkie, dźwięczne wory,
Posuwali się ostróżnie,
Jak łotrzyki lub upiory.

Nadto jeden trzymał rydel
W władającéj mieczem dłoni;
Przystanęli w sennym polu,
Zeskoczyli raźno z koni.

Jeden począł kopać jamę,
Drugi baczył na rumaki,
Pomaleńku odwiązując,
Ciężkie worki od kulbaki.

I tak przytem mówił rycérz
Cichym głosem do kamrata:
Zostawiamy nasz dobytek,
Sami idąc na kraj świata.

Bruździ Spartak ukrajiński,
Wyciął naszych pod Kudakiem,
Trzeba spieszyć na potrzebę,
Raz zakończyć ze Spartakiem.

Będziem rżnęli złe watażki,
Sam Chmielnicki padnie może...
A kto wié, czy los żołniérski
Nas na krwi nie rzuci łoże?

Może zginiem — wola boża;
A nuż dzicz ujmiemy w karby?
Powracając od porohów
Odkopiemy nasze skarby.

Doma niéma komu baczyć,
A wżdy złoto chciwość budzi!
Lepiéj złożyć je w mogile
Niż pod straż oddawać ludzi.

Dół był gotów i głęboki;
Worki z złotem zagrzebiono,
Dla pamięci młodą lipę
Potym jeszcze zasadzono.

Ukończywszy rychło dzieło,
Wyrównawszy czarną ziemię,
Zaprzysięgli tajemnicę;
Każdy ujął z nich za strzemię.

I znów po piasczystéj drodze,
Przy odwiecznych dąbrów szmerze
Niby duchy pociągnęli
Wolną stępią dwaj rycerze.

Ujechawszy staj kilkoro
Jeszcze w tył się obejrzeli —
I zatarły się ich kształty
W miesięcznego światła bieli.

Księżyc wszakże płynął wyżéj
I, jak gdyby śpieg ciekawy,
Ponad lipą bieg zatrzymał,
W dół z niebieskiéj patrząc nawy.

II

Przeszło wieki dwa minęły,
Odkąd znikli męże w zbroji.
Nie wrócili... stara lipa
Nad zarytym skarbem stoji.

Blisko lipy — mały domek,
Poczérniałą słomą kryty,
W słomie stérczą wybujałe
Kosaćcowych kwiatów kity.

Obok strzechy téj — obórka,
Za obórką żytny brożek,
Podle ściany — pług łatany,
A przy drodze lichy stożek.

Tuż pod lipą chłopek siedzi,
Przed nim dymi się prażucha,
Noc zapada... chłodny wietrzyk
Od zachodnéj strony dmucha.

Biédny chłopek przy wieczerzy,
O omszałą lipę wsparty
Prawi żonie, jako nieraz
Dziwne cudy czynią czarty.

Jako, chodząc między ludźmi,
Człeka nagle otumanią,
Kupią duszę heretyka,
Dając wielkie skarby za nią.

A wieśniaczka nic nie mówi,
Jedno głową potakiwa, —
Chłopek westchnął i do żony
Temi słowy się odzywa:

Oj, żebym ja znalazł skarbik,
Kiej wybiorę się na órkę,
Wnetbym sobie wzniósł stodołę,
Stajnię, chlewik i obórkę.

I chałupę, jak się patrzy,
Białym gontem pobijaną,
Kilka krówek na jarmarku
Kupiłbym, szkapę bułaną.

Od sąsiada parę morgów:
Piękna gleba, pszenna gleba!
Dobrzeby się jakoś działo
Przy błogosławieństwie nieba.

A nasz chłopak, co w rekrutach,
Możeby go człek wykupił!
Wróciłby, ujął za cepy,
A w południe drzewo łupił.

Żylibyśmy tak we troje
I szczęśliwie i spaniale...
Oj! żebym téż znalazł skarbik,
Gdy w polu skibę odwalę!

I, westchnąwszy, powstał wieśniak,
Wszedł z babiną do komory...
Śpią; na dworze rosa błyszczy,
W mrocznéj dali szumią bory.

Śpią; a sen im smutne mary
Przez calutką noc napędza,
Śnią o pracy, o zawodach,
Przy ich łożu stoji nędza.

A przed domem — o sto kroków
Leży szczęście, skarb bez miary;
Stara lipa go ocienia,
Zwieszonemi w dół konary.

REKRUTKA
MIKOŁAJA USTJANOWICZA

Po górach błądziła,
Dzieciątko nosiła,
Niemowlę jagódce podobne;
Zbiérała kwiatuszki
I dziecku w paluszki
Wtykała kwiatczyny pól drobne.

Cyt dziécię! nasz tata
Powróci ze świata;
Powróci — wojenka skończona —
Przyniesie dziecinie
Kołaczyk w gościnie
I matkę przytuli do łona.

Chodziła i chodzi;
Nim dzień się rospłodzi
Nie mruży się biédnéj powieka,
Zasiada na górze
I oczy przeduże
Zatapia w nizinach i — czeka.

I tuli dziecinę,
Zgłodniałą ptaszynę,
Bo pokarm tęsknota wyssała,
I płakać poczyna
I siebie przeklina,
Że na świat biédactwo wydała.

Cyt, ach cyt, pieszczotko!
Oj! wróci się złotko,
Kołaczyk przyniesie dziecinie...
Od rana w tęsknicy
Nie zwodzi źrenicy
Do nocy ze szlaków w dolinie.

Rekrutka się smuci, —
Wracają rekruci;
Niewiasty się tęskność podwaja,
Błysnęły źrenice
I pała jéj lice,
Myśl szczęścia — o! — jakże upaja.

Ach! ojciec doliną
Powraca, dziecino,
Spokojność zabłyśnie nam w chacie;
Oj! rosą perlistą
Umyjmy się czystą,
Ażeby milszemi być tacie.

Twarzyczkę umyła,
W włos kwiatek wsadziła,
Do twarzy kwiatuszek niebodze;
Naprzeciw pomknęła,
Wysoko stanęła
Na skale urwistéj przy drodze.

Podniosła wysoko
Dziecinę — głęboko
Westchnęła, coś serce przygniata:
Ach! synku jedyny,
Spójrz na dół w doliny,
W dłoń klaśnij i wołaj: ach, tata!

Nadchodzą wojacy.
Hej, bracia, rodacy!
Gdzie mąż mój? powraca li z wami?
Niewiasto! Bóg z tobą!
Okrytaś żałobą,
On legł pod Madżenty murami.

Niewiasta zadrżała,
Zbladła i załkała,
Gwałtownie przycisła dziecinę, —
Bez skargi wyrazu,
Podobna do głazu,
W przepaści skoczyła głębinę...

W WISZNIOWYM OGRODZIE

W wiszniowym ogrodzie
Z wieczora, o chłodzie,
Panienka włos bujny czesała;
Splatając warkocze
Piosenki urocze
Pod wisznią, staruszką, śpiewała.

W oddali tymczasem,
W cerkiewce, za lasem,
Djak stary uderzył we dzwony,
A echo po rosie
W łamanym rozgłosie
Na wszystkie rozbiega się strony.

Dziewczyna wśród ciszy
Z dzwonnicy głos słyszy,
Poznaje po dźwięku, co znaczy?
Zapewne żniwiarza
W róg niosą cmentarza,
Po cichéj pielgrzymce wieśniaczéj.

Piosenkę urwała,
Z ławeczki powstała,
By na wsi zasięgnąć języka;
Przed furtką spostrzegła
Dziecinę, co biegła,
Kto umarł? zapyta chłopczyka.

Mówili włodarze,
Że Pan Bóg ich karze,
Chłopaczek odpowié dziewoji,
Ponieśli ot kmiecie,
Podzwonne poecie,
Pod cerkwią moc ludu się roji.

Blask słońca w purpurach
Omdléwał na górach
Gdy umarł nasz iirnik stareńki;
Oj! umarł Mikoła,
Duch jego ze sioła
Uleciał, jak sokół siwieńki.

Gdy chłopczyk zdał sprawę,
Oczęta ciekawe
Zatopił w źrenicach panienki, —
A w dali tymczasem,
W cerkiewce, za lasem,
Milknęły żałobne oddźwięki.

W wiszniowym ogrodzie,
Z wieczora, o chłodzie,
Panienka włos bujny czesała;
Splatając warkocze,
Nie piosnki urocze
Lecz dumę żałobną śpiewała.

OBŁĄKANA

Rospuściwszy na wiatr włosy,
Szła przez świéże traw pokosy
Smętna, fantastyczna;
Przystanęła ponad strugą,
W srébrny nurt spogląda długo,
Niby nimfa śliczna.

Wartko płynie woda w rowie,
Na olszynach drży listowie,
Przy wietrzyka szumie...
Hej! dziewczyna nóż ma w ręku,
A źrenicę pełną lęku,
Zaś czoło — w zadumie.

Miesiąc jasne podniósł rogi
Ponad drzewa, ponad brogi,
W eterach żegluje;
A dziewczyna obłąkana,
Białym światłem przyodziana,
Gorzką skargę snuje:

Życie dla mnie — to macocha,
Pasierbicy nie ukocha,
Chyba krótką chwilką...
Miałam chłopca — oj, zbrodniarza!
Z inszą poszedł do ołtarza,
A mnie srom — i tylko.

Dookoła wzrok rospostrze,
Damasceńskie zwróci ostrze
Ku piersiom nerwowo,
Aż tu górą orzeł leci,
Zapóźniony do swych dzieci,
Nad dziewczyny głową.

Hej! ty orle, królu ptaku!
Z podniebnego zlatuj szlaku,
Wydrzyj z piersi serce;
Zanieś memu kochankowi,
Niechaj ono krwią pozdrowi
Chłopczyka — mordercę.

Potok płynie, w brzeg uderza,
Ona nóż ku piersi zmierza,
Miota przeklęstw słowo...
Aż tu górą sokół leci,
Zapóźniony do swych dzieci,
Nad dziewczyny głową.

Hej! sokole siwopióry!
Zlatuj do mnie z białéj chmury,
Zabierz oczy czarne:
Niech powiedzą o mym skonie
Kochankowi, jego żonie,
Dni im trują marne.

Stal błysnęła wykwiecona,
Popłynęła krew czerwona,
Krew bólami wrząca...
Aż tu leci orzeł z góry,
Za nim sokół siwopióry,
Przy blasku miesiąca.

Orzeł w pierś zatopił szpony,
Skarb wydobył z niéj skrwawiony,
Wzleciał pod obłoki;
Siwy sokół porwał oczy,
Zwinne skrzydła w chmurach moczy,
Niesie martwe wzroki.

A dziewczyna leży blada,
Srébrny księżyc na nią pada
Pierś posoką broczy...
A gdzieś górą orzeł wdały
Niesie serce między skały,
Sokół — czarne oczy...

ZARĘCZYNY OPRYSZKA

Gdy po górach schodził dzionek,
A w dolinach siadły rosy,
Precz rzuciła mój piérścionek,
Precz rzuciła pod niebiosy:
Miała w sercu honor pański,
A za gorsem nóż tatrzański.

Gdy na górach szarzał dzionek,
Z dolin mgły wstawały chmurnie,
Precz rzuciłem jéj piérścionek,
Precz rzuciłem ponad turnie:
Miałem w sercu honor pański,
A za pasem nóż tatrzański.

Podle groty, pod kaskadą
Komornice ją widziały:
Całą martwą, całą bladą,
Orły oczy wydziubały...
Miała w sercu honor pański,
A za gorsem nóż tatrzański.

Choć dał znahor ziela, maści,
W górach przykro, w domu nijak!
Mknę za kozą nad przepaści,
Niby warjat, niby pijak:
Mam ja w sercu honor pański,
A za pasem nóż tatrzański.

Precz, niewolne narzekanie!
Precz, żałości stuechowa!
Dziéj się wola twoja, Panie!
Ojcowizno, bądź mi zdrowa!
Mam ja w sercu honor pański,
A za pasem nóż tatrzański.

Zwołam chłopców zbiegłych z armji
I zbójować pójdę z rzeszą;
Choć osaczą nas żandarmi,
Toć mnie przecie nie powieszą:
Mam ja w sercu honor pański,
A za pasem nóż tatrzański.

SEN NA ŚNIEGU

Na dworze mléczny wokół błyszczy śnieg,
Gwiazdy jaskrawo zakréślają bieg.

Mróz się kołysa na niebieskim stropie,
W polu, przez zaspy, młode biegnie chłopię.

Biegnie, by strzałą zraniony jelonek,
Wzrok do obłocznych wysyła koronek.

Lodami ściętą przebył w skoku Wartę,
Do piersi ciśnie potarganą kartę.

Druk... na niéj pieczęć kanclerza wybito:
To edykt pruski — chłopiec jest banitą.

Więc ma szeroką dziś przed sobą drogę —
I łzę w źrenicy, a na sercu trwogę.

I wszędzie może iść drogą nieznaną,
Byle nie wracał tam, skąd go wygnano.

Byle nie wracał w ten cichy zakątek,
Gdzie pełno wspomnień rzucił i pamiątek.

Byle nie wracał do téj schludnéj chaty,
Dokąd go matka przywiozła przed laty;

Gdzie miał dzieciństwa gwiazdeczkę uroczą,
Z rówieśnikami bawił się ochoczo.

Wszędy iść może, byle nie do chatki,
Gdzie czarną trumnę ucałował matki.

Byle nie na to cmentarne ustronie,
Gdzie jéj mogiłka w bujnych trawach tonie.

Mroźno... śniég skrzypi, wiatr na śniegu orze:
Gdyby odpocząć — tak zimno na dworze!

Właśnie graniczny stał na polu kopiec,
Pod tym kurhankiem zasiadł biédny chłopiec.

Mroźno... dreszcz ciepły przebiegł mu po ciele,
Jakgdyby zasiadł przy ciepłym popiele.

Lepiéj mu, ciepléj... choć mróz kołem trzeszczy,
Chłopca w ramiona ujął spokój wieszczy.

Marzy... nad sobą ma księżyca pełnię,
Przed sobą — matkę na obłocznéj wełnie.

Matka w cieplutkie otula go chusty,
Dzieciaczek szepce drgajacemi usty:

Mamo! mnie dobrze, ciepło, jam bespieczny!
I sen na oczy pada mu — sen wieczny.

Na dworze mléczny wokół błyszczy śnieg,
Gwiazdy jaskrawo zakréślają bieg.

STARA BAŚŃ

Umarł — ciało włożono
W cztéry deski czarne
I jeden koń go zawiózł
Przed bramy cmentarne.

Krzyż trumny nie poprzedzał,
Nie śpiéwały mnichy,
Wóz był prosty, bez kirów
I koń przy nim lichy.

Za umarłym nikt nie szedł;
Gorzki życia losie!
Przyjaciół znajdziesz wielu,
Gdy grosz brzęczy w trzosie.

Tylko z głową zwieszoną
Pies miast przyjaciela
Szedł i drogę ostatną
Z swym panem podziela.

Na cmentarzu woźnica
W jeneralnym rowie
Złożył trumnę i rzucił
Grobowe pustkowie.

Był już wieczór i światłem
Drżał strop tajemniczy...
Pies się układł nad rowem,
Skomli i skowyczy.

O! bo psy są szlachetne
I wierność ich znana!
Wył i skomlił żałośnie,
Skowyczał do rana.

A nazajutrz raniutko
Z téj krajiny śnicia,
Wypędzono cne psisko
Śród razów i bicia.

Lecz nieraz skowyczenie
Przechodni posłyszą,
Skoro północ zapada,
Sny kwiaty kołyszą.

A gdy burza szturmuje
Od krzyża do krzyża,
Nawet grabarz odważny
Nad rów się nie zbliża.

Bo tam jęczy coś, wyje
W świszczącéj ciemności...
Ha! to pies tak człowieka
Naucza wierności.

EMERYT

Ćwierć wieku, całe ćwierć wieku
Przedumał w Saskim Ogrodzie;
Codzień na stałéj ławeczce
Przy pięknéj siadał pogodzie.

Studzienną pijał dla zdrowia,
Przegryzał kruchy sucharek,
Podług kompasu, rzetelnie,
Codzień nastawiał zégarek.

W ogrodzie był, jakby w domu,
Znał każdy kącik dokładnie,
Wiedział, gdzie gwoździk zakwita,
Gdzie róża z liścia opadnie.

Wiedział, gdzie dano podpórkę
Drzewku, roślinie lub kwiatu...
I nie dziw, był emerytem
Przed laty spadłym z etatu.

Rodziny nie miał; samotny
Żywot prowadził on wdowiec,
Ostatne z wspomnień młodości
W milczenia złożył grobowiec.

W cienistym siedząc omroczu,
O poręcz ławki oparty,
Długo z powagą na twarzy
W kurjerka wgłębiał się karty.

W te pyłki wieści ulotnych
Wierzył i, jako polityk,
Kanclerzów klął na potęgę,
Niejeden dając im przytyk.

Niekiedy się przysiadali
Do niego starzy znajomi,
Koledzy czasów minionych,
Niezwykłych rzeczy świadomi.

Wtedy z ust do ust przebiegał,
Pomiędzy ich gabinetem,
Klucz politycznych tajemnic,
Jednak — pod wielkim sekretem.

I były rady, nie rady,
Spory, zatargi i waśni,
Jak gdyby światem zarządzać
Oni powinni — przejaśni.

A kiedy rospraw i wniosków
Zbawiennych byli już syci,
Z ławki powstawszy do domu
Powoli śli emeryci.

On jednak, stary emeryt,
Przez cień okular niebieski,
Czytał... przywyknął kurjera
Czytać od deski do deski.

A potym, widząc, jak wróble
Świérgocząc kręcą się w kółko,
Drobił im w palcach sucharek,
A one biegły za bułką.

Codzień je karmił, a ptaszki
Znały tę dłoń dobroczynną,
Emeryt mile spoglądał
Na ptaszął gonitwę zwinną.

Cieszył się w duszy, że idzie
Słabym istotkom z pomocą,
Że ptaszki z nim oswojone,
Wesoło wokół świergocą.

☆

Dziś zmiana... starym zwyczajem
Wróbelków kręcą się stadka,
Ławeczka pusta — ptaszęta
Na poręcz skaczą bez świadka.

Czekają coś niespokojne
Na ciasta słodkie okruchy,
Z dali płynące dzwonienie
Drażni subtelne ich słuchy.

To pogrzéb... poza ogrodem
Dziś opiekuna ptaszynek
Garść ogrodowych przyjaciół
Wiedzie na wieczny spoczynek...

W OKIENKU

Na Starym Mieście gwar cichnie,
Sprzątnięto w rynku bazary,
Jeszcze drży odgłos dzwonienia
Na Anioł Pański z wież fary.

Tu owdzie mieszczów gromadka
Cichą gawędkę prowadzi,
Przed bramą majster z cybuchem
Słucha nowinek czeladzi.

Przy studni z pełną konewką
Ze stróżem gwarzy służąca,
Ulicznik z piosnką wesołą
Biegnąc, przechodniów potrąca.

W jednéj z odwiecznych kamienic,
W okienku na czwartym piętrze,
Wiétrzyk firanką powiéwa,
W izbetki wkrada się wnętrze.

I muska lekkim powiewem
Włosy młodego dziewczęcia,
Co duma szarą godziną,
Skończywszy dzienne zajęcia.

Przed nim — weselna sukienka
Zwiésza się z krzesła poręczy,
Dziewczę od rana do nocy
Nad igłą w okienku ślęczy.

Wyrabia suknię po sukni,
Atłas ubiéra mirtami,
Dla panien z domów zasobnych,
Nim staną przed ołtarzami.

A kiedy ósmą z wieczora
Zégar wydzwoni na tumie,
Dziéwczę odkłada robotę —
I odpoczywa w zadumie
I myśli: tyle już ślubnych
Strojów jéj przeszło przez ręce!
A nigdy marzyć nie przyszło
O własnym biednéj panience.

Któż bowiem szwaczkę ubogą
Wziąłby za żonę z młodzieży?
Nie ma posagu, wyprawy...
Nikt się miłośnie nie zwierzy.

Był wprawdzie jeden, co kochał,
Studencki nosił mundurek...
Dostał galony i przepadł,
Jak w wodę puszczony nurek.

Odtąd o inszym nie marzy,
Lecz z rezygnacją niewieścią,
Żmudnéj oddaje się pracy,
Na przeszłość patrząc z boleścią.

Zwykle bogate kramarki
Białe muśliny przynoszą,
Dla jedynaczek posażnych
O strój weselny ją proszą.

Czasem pod oknem jéj, w dole,
Karéta stanie, bicz puknie,
Ślachcianka wejdzie na górę
I ślubną zamówi suknię.

Lecz przyjdzie chwila i na nią,
Że mirt się zwiesi z jéj skroni,
Welon pokryje twarz białą —
Gdy krzyżyk dadzą jéj w dłoni.

JAWNOGRZESZNICA

Przy świetle latarń gazowych, wesoła,
Szła wystrojona z filuterną miną,
Rzucając lekkie uśmiéchy dokoła,
Jakie częstokroć niepodjęte giną.

Odcień czelności odbijał z jéj czoła,
Widocznie była zepsutą dziewczyną,
Wzrok jéj przyjaznych spojrzeń nie wywoła,
Dziwacznych linij biegnie plątaniną.

Pośród turkotu kół, głośnego gwaru
Tłum ją potrącał, różni z niéj szydzili...
Przecież kochanką była trotuaru!

Jam jéj nie zepchnął w rynsztok, by zaznaczyć
Tym czynem wzgardę, myślałem w téj chwili:
Wiele zrozumiéć, to wiele przebaczyć.

Miejsk. i Wojska Biblioteka Publiczna
Nr 323937
LUBLIN
im. H. ŁOPACIŃSKIEGO

ZAWARTKI

KSIĘGI PIERWSZE

Szczęść Boże!
Do słowa
Nawiedziny anielskie
Credo
Perpetuum mobile
Piosnka
Nie mówcie
Bezimiennym
Zapytanie
Oda Horacego
Wesoło!
Bez echa

Wezwanie
Zawiedzionym
O jakże serce me płacze
Kamień i perła
Nieprawdaż panie?
Istnienie
Cmentarne dumania
Pieśń jesienna
Otwarta księga
Dwie chwile
Myśl o grzechu
Wiersz Szymona Nadsona
Tegoż wiersz drugi
Tegoż wiersz trzeci
Stara altanka
Tegoż wiersz piąty
Zazdrość
Danina
Przeznaczenie
Do jednéj przyjaciółki
Upominki
Czterowiersz
Jesienią
Poeta sobie
Pieśń Anakreona
Tegoż pieśń druga
Tegoż pieśń trzecia
Westchnienie do swywoli
Do miłunku bez rynsztunku
Napis na proporcu życiowym

Cicha woda
Jesień żywota
Ostatne kwiaty
Rozmowa
Nie bierzcie za złe
Obwieszczenie
Wszystko na świecie jest komedją

KSIĘGI DRUGIE

Dźwięczyk
Czarodziejka
Echo z gór
Rzeźba
Szlachetność
Powitanie Tatrów
Kamienna postać
Na rzece
Modlitwa
Szczęśliwa
Zamek wśród jodeł
Patrzę w niebo zadumany
Chora dziewczyna
Sielanka
Do jednego cygana
Wagram
Czy wspominasz
Pod kopką siana
Widzenie
Jeżeli pragniesz
Nieraz mi się nocą marzysz

Sprzeniewierzenie
Prożba
Potwierdzenie
Troskliwość
Edeński kwiat
Kazanie
Majowe nabożeństwo
Wspomnienia naszej miłości
Przechadzka
Jej wiersz
Powszedny sen
Pamiętaj
Hej, hej, miły Boże!
Pokłośnictwo
Po latach
Westchnienie
Siedmnaście pereł na naszyjnik dla jej duszy
Pawie pióra
Wspólne winy
Dogrywka

KSIĘGI TRZECIE

Jubal
Złoty cielec
Ostatni dzień Anakreona
Legienda borów
Esterka
Pieśń o Krystynie Szykowskim
Bracia opryszki
Ben Jehuda

Flisak
Pogrzeb w lesie
Skarb ukryty
Rekrutka
W wiśniowym ogrodzie
Obłąkana
Zaręczyny opryszka
Sen na śniegu
Stara baśń
Emeryt
W okienku
Jawnogrzesznica

KSIĄŻKA NINIEJSZA WYDANĄ ZOSTAŁA W KRA
KOWIE W DRUKARNI W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
W TYSIĄCU I STU EGZEMPLARZÓW Z KTÓRYCH
STO ODBITO NA PAPIERZE CZERPANYM DRUK
UKOŃCZONO DWUDZIESTEGO I TRZECIEGO DN
IA MAJOWEGO ROKU TYSIĘCZNEGO OSMSETNE
GO DZIEWIĘĆDZIESIĄTEGO I ÓSMEGO

Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

II 323937

1000084109